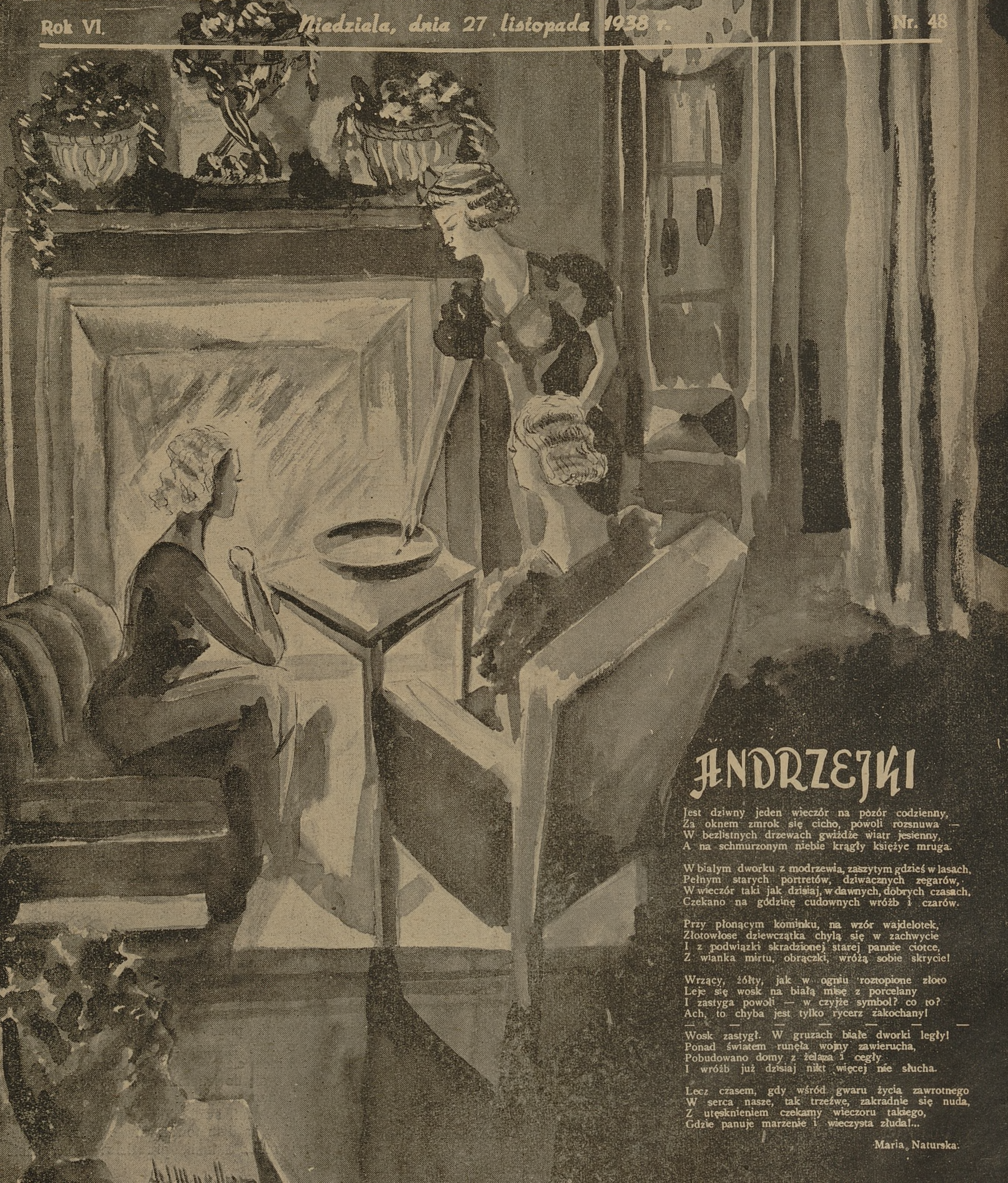
Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 27 listopada 1938 r. Nr. 48



ANDRZEJKI

Jest dziwny jeden wieczór na pozór codzienny,
Za oknem zmrok się cicho, powoli rozsnuwa —
W bezlistnych drzewach gwiżdże wiatr jesienny,
A na schmurzonym niebie krągły księżyc mruga.

W białym dworku z modrzewia, zaszytym gdzieś w lasach,
Pełnym starych portretów, dziwacznych zegarów,
W wieczór taki jak dzisiaj, w dawnych, dobrych czasach,
Czekano na godzinę cudownych wróżb i czarów.

Przy płonącym kominku, na wzór wajdelotek,
Złotowłose dziewczątka chylą się w zachwycie
I z podwiązki skradzionej starej pannie ciotce,
Z wianka mirtu, obrączki, wróżą sobie skrycie!

Wrzący, żółty, jak w ogniu roztopione złoto
Leje się wosk na białą misę z porcelany
I zastyga powoli — w czyjże symbol? co to?
Ach, to chyba jest tylko rycerz zakochany!
— — — — — — —
Wosk zastygł. W gruzach białe dworki legły!
Ponad światem runęła wojny zawierucha,
Pobudowano domy z żelaza i cegły
I wróżb już dzisiaj nikt więcej nie słucha.

Lecz czasem, gdy wśród gwaru życia zawrotnego
W serca nasze, tak trzeźwe, zakradnie się nuda,
Z utęsknieniem czekamy wieczoru takiego,
Gdzie panuje marzenie i wieczysta złuda!...

Maria Naturska.

ADAM CZEKALSKI

10)

Hollywood

POWIEŚĆ

Skinęła mu głową i oddaliła się szybko. A idąc, spostrzegła, że pokład jest prawie pusty i tylko w niektórych jego zakątkach przechadzały się lub stały splecione w uściskach rzadkie pary. Wśród tych jednakże nigdzie nie było Mady. Kaja zeszła do swojej kajuty i tutaj dopiero zetknęła się z Mady. Statystka była zdenerwowana i bardzo gniewna.

— Co się stało, Mady? — spytała de Rieth.

— To wszystko był ukartowany zamach! — wybuchnęła Mady. — Ściągnięto nas tu jedynie po to, aby O'Conorowi ułatwić możność zobaczenia pani i porozumienia się czy też porozmawiania. Charles powiedział mi to bez żadnych obsłonek.

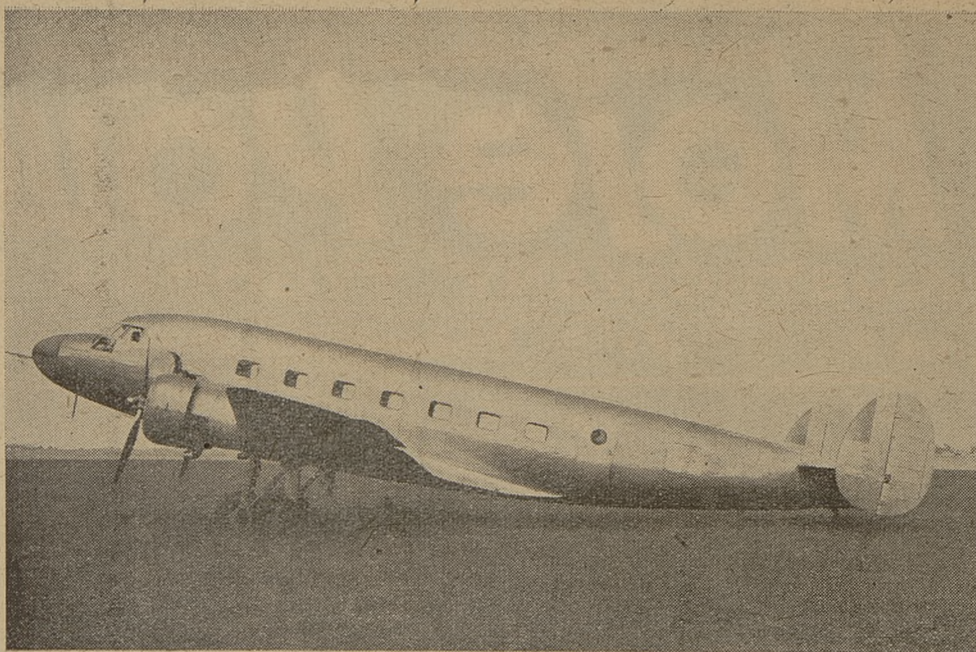
— Masz słuszność, teraz ja widzę, że cała ta wycieczka ukartowana została przez Slima i to mnie właśnie najbardziej upokarza. Nie chcę nic zawdzięczać temu człowiekowi, nawet parogodzinnej przejażdżki po morzu, nie chcę nic od niego brać.

— Ach, i ta Fancy! Jestem przekonana, że ona tutaj także jest w zmowie. Udaje przyjaciółkę, a pcha nas obie w bagno.

— Nie damy się jednak. Musimy tak postępować, aby wszystkie ich śmiałe i nawet bezczelne plany przekreślić. Słuchaj, Mady, od dzisiaj będziemy ciągle razem przebywać i nie rozłączać się ani na krok. W ogóle zaś radzę ci nie rozmawiać z Charlesem.

— Ja przecież dzisiaj omal go nie wypoliczkowałam. Te jego cowboyskie umizgi za bardzo mi pachną oborą. Człowiek bez najmniejszego szczerego poloru kultury.

— Cóż chcesz, przecież ten jegomość prosto z pastwiska tutaj przyszedł. Nie dziw, że mu się w głowie przewróciło i zdaje mu się, iż jest wielkim panem.



Dwusilnikowy samolot komunikacyjny typu „Wicher", wykonany całkowicie w kraju.

XIII.

„SEKRETARZ" GWIAZDY

Ogromny transatlantyk „Cornerstone" przybił do mola portu nowojorskiego i załatwiwszy formalności prawne, zabierał się do wyładowywania pasażerów i towarów przywiezionych z dalekiej Afryki. Na molo portowym stał mister Hemlock i uważnie przyglądał się pasażerom, którzy po schódkach opuszczali pokład i kierowali się w stronę urzędu celnego, aby się tu poddać rewizji i otrzymać stempel na paszporcie, zezwalający na pobyt przez czas ograniczony na terenie wolnej ziemi Waszyngtona, która od dawna już przestała być naprawdę wolną ziemią.

Opodal Hemlocka czterech innych eleganckich panów prowadziło beztroską pogawędkę, ale oczy ich nie schodziły prawie z potężnej i spoconej postaci mister Thomasa, oczekującego na człowieka, którego powierzył jego pieczy sir O'Conor.

„Cornestone" przywiózł z Afryki kilkuset ludzi, a że upał był nieznośny, wychodzili oni bardzo powoli ze statku i ociężałymi krokami kierowali się do urzędu. W końcu Henlock spostrzegł upragnionego Rogera i ruszył ze swojego miejsca. Czterech eleganckich dżentelmenów poszło w ślad za nim i niebawem Roger Puroll spotkał się oko w oko z korpulentnym jegomościem, który uchylił kapelusz i spytał:

— Pardon, monsieur, czy mam honor mówić z panem Rogerem Puroll, dyrektorem oddziału afrykańskiego firmy samochodowej?

— Tak, ja nim jestem. A pan?...

— Jestem Kid Avare, sekretarz osobisty miss Kai de Rieth i przybywam w jej imieniu, ażeby panu towarzyszyć i załatwić pewne sprawy tutaj.

— Ach, bardzo mi miło — uśmiechnął się radośnie Roger i wyciągnął rękę na powitanie. — I jakże się czuje w tym nowym świecie moja żona? Czy zdrowa?

— Ach, mister, pańska żona czuje się znakomicie. Tęskniła z początku za dawnym życiem, ale dzisiaj przywykła i czuje się tak dobrze, jak tylko czuć się tu można.

Owalna i dobroduszna twarz mister Kida Avare pękła na dwoje w jakimś nieokreślonym uśmiechu, a małe świńskie oczka zamigotały złośliwie.

— Mister Puroll, pan pozwoli, że ja zajmę się jego sprawami w urzędzie celnym i zarazem przedstawię go przyjaciołom pani de Rieth, którzy z własnej ochoty, z uwielbieniem że tak powiem dla czystej i wspaniałej gry wielkiej artystki, przybyli tutaj wraz ze mną, aby panu towarzyszyć. Są to ludzie z najlepszego towarzystwa amerykańskiego, finansowo całkowicie niezależni, a że nie mają, mówiąc między nami, nic lepszego w życiu do roboty, jak włóczenie się po świecie, przeto będą nam zapewne tym bardziej pożądanymi towarzyszami.

Roger, niczego nie podejrzewając, ani nawet nie mając pojęcia o tym, by jakikolwiek podstęp w tym wszystkim był możliwy, zgodził się chętnie i niebawem czterech eleganckich dżentelmenów przyłączyło się do ich towarzystwa. Byli to panowie naprawdę, jak się wydało, doskonale wychowani, swobodni i umiejący się znaleźć w każdym towarzystwie. Wszyscy czterej rośli, smukli, prawdziwi Amerykanie



Uroczysty moment przekazywania Armii samochodów, ufundowanych przez Elektrownię Warszawską.

w każdym calu, prawie nie różnili się zewnętrznie niczym między sobą. Jednakowo byli ubrani, jednakowo nosili modne filmowe wąsiki, jednakowe palili papierosy, tak bardzo okrzyczane „Lucky Strite" i jedynie nazwiska nosili odmienne. Jeden więc nazywał się Parsley, drugi Sliver, trzeci Vigorous i czwarty Fir. Takie przynamniej nazwiska wymienili.

Podczas gdy mister Avare udał się w imieniu Purolla do urzędu celnego, czterej dżentelmeni zabawiali Rogera rozmową, informując go o ruchu portowym, sprawach filmowych, w których zdradzali dużą znajomość, w końcu zeszli na Afrykę, wypytując Rogera o sprawy tamtejsze.

— Przed paru laty — mówił mr. Fir — bawiłem na terenie Afryki w ciągu całego roku, zabawiając się łowami na grubego zwierza. Macie tam panowie wspaniałe tereny łowieckie.

— Niech pan powie lepiej: były, gdyż obecnie wszystkie państwa mandatowe wprowadziły bardzo surowe przepisy ochronne, inaczej zwierzyna całkowicie byłaby wyginęła od kul myśliwych całego świata, którzy się tam zjeżdżali na łowy.

— Czyż takich spustoszeń tam dokonano? — zdziwił się mister Parsley. — A ja sądziłem, że w Afryce można strzelać wszelką zwierzynę bez żadnych ograniczeń.

— Owszem, istnieją gatunki zwierząt, co do których ograniczeń się nie stosuje.

— Pewnie używa pan tam sobie do woli, co? — zagadnął Sliver.

Puroll uśmiechnął się tylko i odrzekł:

— Niestety, nie mam prawie na to wcale czasu. Proszę pamiętać o tym, że jestem dyrektorem jednego z afrykańskich oddziałów fabryki samochodowej amerykańskiej i zajęcia w tym dziale zabierają mi ogromnie wiele czasu. Poza tym mam także i cały szereg innych obowiązków. Państwo współczesne, które posiada kolonie, nie może ograniczać się jedynie do eksploatowania bogactw naturalnych swojej kolonii i wyzyskiwania naiwnych murzynów, ale także musi zapewnić tym wielkim dzieciom opiekę i wszelką pomoc. Przecież to także

ludzie, którzy posiadają duszę nieśmiertelną.

— U nas tutaj trochę inaczej na te sprawy patrzymy, mister Puroll — rzekł Vigorous. — I inaczej być nie może. Gdybyśmy bowiem dopuścili negrów na równą stopę z białymi, niewątpliwie zechcieliby oni stać się naprawdę nam równi, a ponieważ rozmnażają się daleko szybciej od białych, niedługo zawojowaliby nas całkowicie.

— Nie jest tak źle, mister Vigorous. Na przeszło kilkadziesiąt milionów mieszkańców w Stanach, macie zaledwie 11 milionów murzynów, a więc nie stanowią oni nawet 10 proc. ogółu ludności. Gdzież tu zatem może być mowa o zawojowaniu.

— Jednakże negrzy pozostaną na zawsze u nas, jako siła robocza, i nic poza tym. Ci ludzie nie mogą zabierać miejsca przed nami, białymi. Dlatego separujemy się od nich wszędzie, zarówno w domu, jak i w pracy i w pociągu.

Rozmowę przerwał nadbiegły i zasapany mr Kid Avare.

— Wszystko załatwione w najlepszym porządku — oznajmił — możemy zatem przejść do samochodu i udać się do miasta. Czy pan ma już zamówiony jaki hotel, mr. Puroll?

— Nie, nie zamawiałem go. Przypuszczam, że pod względem mieszkaniowym nie panuje w Nowym Yorku taki ścisk, jak w naszej babci Europie?

— Nie, tego u nas nie ma. Tutaj może pan wynająć nawet cały drapacz chmur na swój prywatny użytek. Ale skoro nie wybrał pan nic dotąd, pozwoli pan zatem, mister Puroll, że pojedziemy do znajomego nam hotelu „Altona", gdzie zazwyczaj mieszkamy z miss de Rieth, podczas pobytu w tym mieście.

— Czy żona moja bywa tutaj często?

— Często nie, ale bywa czasem. Wprawdzie Los Angeles jest zbyt oddalone od Nowego Yorku, ale przy obecnie ułatwionej komunikacji powietrznej nie stanowi to żadnej nadzwyczajnej przeszkody. Kilka godzin przyjemnej jazdy powietrzem i lądujemy w Nowym Yorku.

Istotnie, komunikacja powietrzna w tym kraju jest podobno doskonale rozwinięta. Nie byłem tu już dawno, ale i teraz spostrzegam, że wciąż tu panowie pracujecie i rozbudowujecie wszelkie możliwe dziedziny życia.

Mister Avare przymknął prawie całkowicie swoje całe świńskie oczka i spojrzał ukradkiem na czterech towarzyszy, a następnie zabrał swego gościa i poprowadził w stronę parku samochodowego.

Wóz, do którego wsiedli wszyscy sześciu, był osobliwego kształtu i budowy. Puroll, który znał się na samochodach, jako dziedzinie swojej pracy, od razu zwrócił uwagę na karoserię tego auta. Było to ładne i zgrabne pudło, ale od pierwszego rzutu oka spostrzegało się, że jest to bardzo ciężka,



Księstwo Windsoru postanowili zamieszkać przez dwa lata w Paryżu we własnym pałacu.



Gen. Bortnowski na czele przedstawicieli władz wziął udział w uroczystościach w Cierlicku ku czci śp. Żwirki i Wigury.

ale zarazem i bardzo silna maszyna. Roger przystanął chwilę przy wozie i przyglądał mu się z miną znawcy.

— Doskonała maszyna — zauważył w pewnej chwili.

— Tak, jest to silny wóz, przeznaczony do dalekich dróg, a więc musi być tak zbudowany, aby wytrzymał największą szybkość.

— Ile też maksimalnie może ten wóz ciągnąć na godzinę?

— Średnio na dobrej drodze do 300 kilometrów.

Puroll pokiwał w zdumieniu głową. Nigdy dotąd nie widział podobnych wozów używanych przez zwykłych, przeciętnych obywateli. Prawda, takie wozy w ogóle rzadkością nie były, gdyż widział już i takie, które zrobić potrafiły i więcej niż 300 kilometrów, ale to były wozy specjalnie wyścigowe i widziało je się jedynie na torach wyścigowych.

Szeroka ulica prowadząca od portu do miasta, zatłoczona była tysiącami aut, które posuwały się bardzo powoli, prawie ślimaczym tempem. Puroll z wielką ciekawością przyglądał się ulicy amerykańskiego miasta i widział, że wszyscy tutaj spieszyli się, jakby wykonując wyścig uliczny. Ludzie ci bowiem nie chodzili po chodnikach, ale wprost biegali. Inaczej też zupełnie wyglądała ta ulica, niż ulica jakiegokolwiek miasta europejskiego. Nader rzadko widziało się tu mężczyzn w kapeluszu na głowie. Przeważali wśród tłumów ulicznych ludzie młodzi. W pewnym miejscu cały sznur samochodów został zatrzymany przez jakąś przeszkodę. Puroll wychylił się i zobaczył po prawej swej stronie obszerny plac, na którym odbywało się jakieś przygodne zgromadzenie. Dwa wielkie transparenty widniały wśród tłumów ludzkich, wzywające wszystkich do zadawania pytań, jakie się komu podoba. Przed transparentem stał ksiądz katolicki i coś przemawiał.

— Cóż to znowu za zebranie uliczne? — spytał Roger siedzącego obok niego pana Kida Avare.

— To tam? To nowa metoda apostolska, którą prowadzi na ulicach Stanów „Catholic Evidence Guild" (Bractwo dające świadectwo prawdzie katolickiej) — odrzekł Avare. — Zaczęło się to w mieście Oklahoma, liczącym około 200 tys. mieszkańców, w tym zaledwie 2 proc. katolików. Rezultaty tego apostolstwa były widoczne: w ciągu pierwszego już roku tej akcji nawróciło się na katolicyzm w Oklahoma — 800 innowierców. Obecnie tego rodzaju apostolstwo prowadzone jest w innych miastach Stanów. Właśnie takie przygodne zgromadzenie ma pan przed sobą.

Zgromadzenie to było jednym ze specyficznych objawów życia amerykańskiego. Bractwo, dające świadectwo prawdzie katolickiej — wyszło z kościołów na ulicę i wzorem pierwszych apostołów głosiło Słowo Boże wśród najprzygodniejszych słuchaczy. Niektórzy katolicy gorszyli się, twierdząc, że takie przepowiadanie Prawdy Chrystusowej na ulicach obniża powagę Kościoła. Ale doświadczenie wykazało co innego: owszem, bezpośrednie zwracanie się sług Kościoła do innowierców oraz danie im możności zadawania pytań, okazało się w praktyce niezmiernie dobroczynne dla ugruntowania wiary w duszach błądzących.

Stefan Leven, wicerektor kolegium amerykańskiego w Louvain pisał o tych nowoczesnych misjach na ulicach:

„Moi współrodacy w Stanach Zjednoczonych wybrali dobrą metodę apostolstwa... Są dziś takie czasy, że trzeba iść do niewierzących, trzeba ich szukać i stawiać im przed oczy prawdę, którą z takim uporem odrzucają. Musimy prowadzić misje i w krajach cywilizowanych, nie tylko wśród dzikusów. Musimy powrócić do metod z pierwszych czasów chrześcijaństwa, kiedy to apostołowie szli na ulice i place i przemawiali... Weźmy sobie za patronów głosicieli Słowa Bożego takich, jak św. Antoni z Padwy, św. Wincenty Ferrier, Wincenty a Paulo, którzy nie wahali się przemawiać do tłumów na rynkach i ulicach... Idźmy na spotkanie tym owcom błądzącym, które często mają w pogardzie Prawdę katolicką dlatego tylko, że jej nie mieli okazji poznać".

Te misje na ulicach Stanów Zjednoczonych noszą nazwę „Catholic Revivals". Wyraz „Revival" znaczy dosłownie ożywienie, wskrzeszenie, a w tym wypadku jest używany w znaczeniu misji, apostolstwa.

Odbywa się to zwykle w ten sposób:

Najpierw kapłan lub świecki mówca katolicki — zanim zacznie przemawiać do tłumu na ulicy — wraz z obcymi katolikami śpiewa „Veni Creator" lub inną pieśń do Ducha św. po angielsku. Po tym wygłasza przemówienie o charakterze apologetycznym, trwające nie dłużej jak pół godziny. Następnie prosi obecnych o zadawanie mu pytań, na które odpowiada. Wreszcie ogłasza temat i termin następnego przemówienia i kończy zebranie odmówieniem „Ojcze nasz", po czym odchodzi, żegnając obecnych słowami: „Dziękuję! Do widzenia! Niech was Bóg błogosławi!

Taki „Revival" trwa zazwyczaj w danym mieście od 6 do 12 dni. Rezultaty tego apostolstwa, prowadzonego w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich lat, dają się już zauważyć.

— Niedawno „Liga młodych komunistów" (Young Communist League), licząca około 15 tys. członków, uderzyła na alarm — odezwał się znowu Avare — wołając, że katolickie misje na ulicach stanowią największą przeszkodę dla szerzenia idei komunizmu.

— Czy to pewne? Wydaje się bowiem, że gdzie jak gdzie, ale właśnie w tym kraju komuniści nic nie powinni mieć do gadania.

— Trudno, rozmaici ludzie rozmaicie pojmują ziemskie szczęście człowieka. Jedni popierają wielkich posiadaczy fortun, drudzy mniejszych, a jeszcze inni występują zgoła przeciwko wszelkiej własności i wszelkim majątkom.

Ciężki wóz „sekretarza" gwiazdy filmowej potoczył się dalej, gdyż gdzieś tam daleko na przodzie tego węża samochodowego zrobiło się wolne miejsce i można było jechać dalej. Jazda ta jednak w dalszym ciągu była ślimacza i powolna, toteż Avare, któremu snać bardzo spieszno było wydostać się na wolniejszą przestrzeń i szybciej dostawić Purolla do wybranego hotelu, w pewnym miejscu w pewnym miejscu skręcił w jakąś boczną ulicę, później wyrównał wóz i znowu skręcił w prawo i wydostawszy się na ulice mniej zatłoczone, przerzucił się na trzeci bieg i samochód pomknął z warkotem w górę miasta.

Jechali jakimiś dzielnicami bocznymi, które jednak miały wygląd wielki i rozległy, jak wszystko w tym kraju, aż w końcu wydostali się w dzielnicę ubogą, brudną, pełną jakichś podejrzanych typów męskich, przekupek ze straganami na ulicach i po dalszych kilku minutach zatrzymali się przed wielkim domem, na frontonie którego widniał olbrzymi, krzykliwy barwami namalowany szyld: Hotel Altona.

— Jesteśmy na miejscu — poinformował Avare. — Proszę, sir, iść za panem Fir, który zajmie się urządzeniem pana na miejscu, ci zaś nasi trzej przyjaciele zaopiekują się rzeczami, które niebawem nadejdą z portu, a ja sam zaprowadzę wóz do garażu hotelowego i niebawem zjawię się u pana na usługi.

— Doprawdy jestem wzruszony opieką, jaką panowie nade mną roztoczyli — rzekł, wysiadłszy z samochodu, Roger.

— Ach, mister Puroll, to drobnostka — bronił się Avare. — W starej Europie powiadają o nas, rdzennych Amerykanach, że jesteśmy mało grzeczni i że tylko pieniądz jest motorem we wszystkich naszych działaniach. Chcemy zaprzeczyć tej fałszy-

wej o nas opinii ludzi po drugiej stronie wody i okazać, że i tutaj są dżentelmeni... Panie Fir, proszę zaprowadzić naszego miłego gościa do kantoru i wybrać odpowiedni apartament. Ja za kilka minut zjawię się tam u panów również.

— Poświęcenie panów zawstydza mnie po prostu — próbował się bronić Roger. — Nie chciałbym panów zaprzątać swoją osobą, gdyż po krótkim wypoczynku muszę zawiadomić moją firmę, że wylądowałem i pragnę złożyć w jej biurach wizytę.

— I to również załatwimy za pana. Panie Parsley, zechciej wziąć numer telefonu od milorda i zadzwonić do firmy. Rachunek ja zapłacę.

— All right, mister Avare — dotknął jednym palcem kapelusza mister Parsley i wraz z towarzyszem swym panem Fir poprowadził Rogera do kantoru hotelu.

Sliver i Vigorous zostali na dole. A gdy Puroll zniknął w wielkich drzwiach hotelu z Firem, Avare-Hemlock odezwał się szeptem.

— Ależ żółtodziób z tego bubka! Niczego się nie domyśla i wszystko bierze za dobrą monetę. Będziemy go mieli w rękach jak dwa razy dwa jest cztery.

— No, przypuszczam, przecież nas jest pięciu, a on jeden — zgodził się Vigorous.

— Nadto, w razie potrzeby, inni towarzysze przyjdą nam z pomocą — dodał Sliver.

— Oczywiście, oczywiście, ale póki co, musimy być wszyscy bardzo uprzejmi i nie okazywać żadnej przemocy. Przypuszczam, że ten naiwny człowiek z Europy zrobi wszystko, czego od niego zażądamy.

Avare był w tej chwili niemal przekonany, że Puroll niczego się nie domyśla, niczego nie przeczuwa. Tak jednakże nie było. Puroll już od kilku minut zaczynał coś niedobrego przewąchiwać. Początkowo, przypuszczając, że to zamach, próbował zgłębić jego przyczynę. Czyżby zamach firmy konkurencyjnej? Ale przecież na terenie Afryki nie działała żadna inna fabryka amerykańska samochodów oprócz tej, którą on reprezentował!

Wchodząc po schodach na pierwsze piętro w towarzystwie Fira, Puroll spoglądał ukradkiem na owego dżentelmena i w pewnym momencie spostrzegł, że ten zatrzymał się na jeden krótki moment na klatce schodowej i rzucił w dół znaczące spojrzenie. Spojrzenie to podchwycił Roger i od tej chwili postanowił mieć się na ostrożności. Coś tu było niewyraźnego i niejasnego. W tej chwili dopiero zastanowił się nad nędzną bajeczką Avare'a o uczuciach przyjaźni, jakie żywili dla niego czterej eleganccy panowie przez wzgląd na kult, jaki mieli dla artyzmu i talentu jego żony. Dziwnie naiwne wydało mu się to tłumaczenie. Nie dał jednakże nic poznać po sobie i wszedł do pokoju wybranego przez siebie na czasowe mieszkanie.

— Pan zapewne zechce spocząć po podróży, sir? — zapytał Fir, kiedy drzwi pokoju hotelowego zamknęły się za nimi.

— Tak, pragnąłbym wypocząć z godzinę — dwie, ale tymczasem poczekam na kufry z portu. Zechcą panowie przypilnować, by przywieziono je tutaj możliwie szybko — odrzekł Puroll.

— O to niech będzie pan spokojny, już tam moi przyjaciele zajmą się tą sprawą tak, że i zawodowi ekspedytorzy lepiej zrobić tego nie mogą.

— Dziękuję z góry.

— No, więc chwilowo do widzenia. Nie będziemy panu przeszkadzać. Zabawimy się gdzieś opodal w barze, a jeśli zechce nas pan po wypoczynku zobaczyć, proszę zadzwonić do kantoru i powiedzieć portierowi, aby nas zawiadomił.

— Dobrze. Do widzenia.

Fir wyszedł cicho, jakby na nogach miał nie buty, ale łapy kota. Ten skradający się krok Fira uderzył od razu Rogera. W ogóle zaś od chwili, gdy do duszy wkradło mu się podejrzenie, że koło niego dzieje się coś niewyraźnego, stał się ogromnie podejrzliwym. Fir dawno już wyszedł, a on stał wciąż na środku pokoju i nasłuchiwał. Był niemal przekonany, że gdyby teraz otworzył raptownie drzwi, zastałby tego młodego człowieka na pewno pod nimi. Nie chciał jednakże zdradzać się ze swoją podejrzliwością, ale energicznym krokiem podszedł do okna, umyślnie czyniąc wiele hałasu, i wyjrzał przez nie. Okna wychodziły na jakieś podwórze, otoczone niewielkimi domkami, które tłoczyły się tu jeden na drugim.

Spróbował otworzyć okno bezszelestnie, ale te zabite były, jak się zdało, na głucho. Wrócił więc z powrotem do drzwi, ale tym razem szedł cicho, aby się nie zdradzić. Był bowiem przekonany, że za drzwiami czatuje na niego Fir. Nie rozumiał zupełnie, co ci ludzie od niego chcieli? Kim byli? Ten Avare wydał mu się bardzo dobrodusznym grubaskiem, niezdolnym do popełnienia nic złego. Dobroć biła z jego owalnego, jak księżyc w pełni, oblicza.

W końcu Roger, niczego dociec ani wymyślić nie mogąc, machnął na wszystko ręką i wziąwszy ze stołu plik czasopism, usiadł w bujaku i zaczął przeglądać ilustracje. Ale przeglądając czasopisma, nasłuchiwał bacznie i myślał zgoła o czym innym, tak, że nie rozumiał zupełnie tego, co czytał i nie widział ilustracyj, które oglądał.

Upłynęło tak pół godziny, godzina, a nic się nie działo takiego, co zagrażało by Rogerowi bezpośrednim lub pośrednim niebezpieczeństwem. W końcu Puroll powstał i postanowił rozwikłać wszystko za za jednym zamachem. Zadzwonił do kantoru, zapytując o pana Avare i towarzyszy. Odpowiedziano mu, że jeśli sobie dostojny sir życzy, wszyscy ci czterej panowie mogą zjawić się natychmiast.

— Nie — odrzekł Roger — pragnę zobaczyć tylko samego pana Avare'a.

— Dobrze — usłyszał odpowiedź — przybędzie on tam do pana niezwłocznie.

Upłynęło jeszcze kilka dość męczących minut i wreszcie zapukano do pokoju Rogera.

— Entrez — rzucił dość nerwowo.

Na progu stanął mister Kid Avare, sekretarz Kai we własnej osobie.

— Jakże udał się wypoczynek szanownemu panu? — zapytał Avare z szerokim uśmiechem na owalnej gębie. — Czuje się pan rzeźwy?

— Owszem, doskonale wypocząłem — skłamał Roger. — Proszę, mister Kid, niech pan siada. Porozmawiamy o mojej żonie i o innych sprawach.

— Właśnie, właśnie i ja chciałem pana o chwilę rozmowy prosić, gdyż mam pewną sprawę, którą miss de Rieth poleciła mi załatwić zaraz po jego wylądowaniu w porcie.

— Czy to co ważnego?

— Jest to sprawa ważna i nieważna, zależy z której strony do niej będziemy podchodzili. Ale zanim przejdziemy do sedna rzeczy, może zechce pan uprzednio przeczytać list od miss de Rieth.

Kid Avare podał list Rogerowi i ubrawszy twarz w skromną i niewinną minę, zapalił papierosa i czekał cierpliwie, dopóki jego gość nie zapozna się z treścią pisma.

Wreszcie Puroll podniósł oczy na Kida.

— I pan twierdzi, że list ten pisała moja żona własnoręcznie?

— Tak jest, sir. Sam byłem świadkiem tego faktu.

— Czy pan jesteś wtajemniczony w treść tego pisma?

— Nie, nie czytałem go, ale ponieważ znam ogólny tenor sprawy, mogę się domyślać, że jej to zapewne on dotyczy.

— Otóż myli się pan. Żona moja właśnie prosi mnie, abym nie marudził długo w Nowym Yorku, ale jak najszybciej przybył do Hollywood.

Świńskie oczka Kida zabłysły złowrogo.

— Czy się pan nie myli?

— Widziałeś pan przecież przed chwilą, że list co tylko przeczytałem.



Muzykanci...

Podwórze pełne muzyki
i pełne tonów rozdrganych...
i świateł roztęczowych
w szerokich oknach szklanych.

Brzęk naczyń, dzwoniących talerzy,
kanarek się w klatce sprzeciwia...
muzykantów grono
Różne melodie wygrywa.

Białe kuleczki papieru
przez okno otwarte — w podwórze
lecą... nim z trzaskiem... opadną
tuż przy wilgotnym murze.

Przycichły rozdrgane tony,
cicho znów w szarym podwórzu,
tylko w krąg drzewa szumią
i cienie kreślą po murze.

Tylko gdzieś z pobliskiego
podwórka dochodzą tony — —
tak rzewne i tak dalekie
jak w mgle zatopione dzwony... — —

Józef Baranowski.



Popularny zespół chóru Dana odnosi obecnie wielkie sukcesy w Stanach Zjednoczonych.

— A jednak treść jego, jaką mi pan przed chwilą zakomunikował, nie wydaje mi się być w zgodzie z poleceniami, jakie otrzymałem od miss de Rieth.

— Mianowicie, jakież to polecenia pan otrzymał?

— Zaraz to panu wyjaśnię. Oto jest dokument, jaki wręczyła mi miss de Rieth z tym, abym go panu przedstawił do podpisu.

czuć będą wzajemnie, iż miłość dawno się już z serc ich ulotniła.

To wszystko wyglądało na rzetelną prawdę. Ale czy było prawdą? W to Roger nie bardzo chciał wierzyć. Pojmował, że mogło tak być, jak pisała Kaja, wiele bowiem podobnych dramatów rozegrało się już dotychczas na tle filmu, ale z drugiej strony coś mu szeptało, że nie można temu wszystkiemu wcale wierzyć. Przecież to nie do pojęcia, aby Kaja, którą on kochał

A ten dziwny pan Avare wcale już młodym nie był, na malarza i arystokratę wcale nie wyglądał. Więc co? Mistyfikacja? Spisek? Zamach na jego swobodę? Co się za tym kryje?

Puroll powstał nagle od stołu i uderzył swymi stalowymi oczami w twarz nalaną i boleśnie w tej chwili uśmiechnięta mistera Avare'a.

— Dobrze — wyrzekł twardo — dobrze, podpiszę ten dokument...

— Pan jest bardzo uprzejmym, sir...

— Ale pod warunkiem, że uprzednio osobiście porozumiem się z moją żoną. Jeżeli ona oświadczy mi w oczy, że to wszystko prawda, podpiszę bez słowa.

— Ależ mister Puroll... — prawie zasyczał Avaro — to mija się z dyspozycjami, jakie otrzymałem od miss Kai de Rieth.

— Bardzo możliwe, że pan masz inne dyspozycje i może nawet od innych osób, ale mnie to już nic nie obchodzi. Zrobię tak, jak powiedziałem. A tymczasem żegnam pana, gdyż muszę porozumieć się z moją firmą osobiście, a zatem pragnę być sam.

I Roger, nie zwracając już najmniejszej uwagi na korpulentnego grubasa, podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

— Mister Puroll — przerwał mu jeszcze Avarone — pan podpisze ten papier.

Głos Kida brzmiał surowo, prawie złowrogo. Roger ani by się był domyślił, że ten dobroduszny grubas potrafi zdobyć się na podobny ton.

Puroll wziął papier z rąk Kida i rzucił na niego okiem. Było to oświadczenie zgody na rozwód z Kają. Twarz Rogera zapaliła się gniewnymi błyskami. Zaciśniętą dłoń położył na płycie stołu, i Kid widział, że ręka ta drżała. W istocie, wszystko to trudne było do pojęcia. Charakter pisma w liście był Kai, to nie ulegało wątpliwości. Roger znał go przecież najlepiej chyba. I w liście tym Kaja wyraźnie pisała, że nowe warunki życia w Hollywood i wiele okres oddalenia, jaki ich oboje rozdzielił, wiele innych nader ważnych przyczyn zmuszają ją do zerwania małżeństwa z Rogerem, gdyż się przekonała dzisiaj, że go już nie kocha. Przesyła zatem oświadczenie zgody na rozwód i prosi o podpisanie. Przykro jej, naturalnie, że go tak boleśnie dotknąć musi, ale jest przekonana, że lepiej raz po to, aby rana niebawem się zgoiła, póki organizm młody, aniżeli rozdrapywać ranę później i męczyć, gdy żyjąc razem,

i o której wiedział, że i ona go kocha, aby ta Kaja mogła z tak lekkim sercem podeptać całą piękną i jasną przeszłość, tyle lat wierności i wytrwania, jakie okazał on, Roger, i powiedzieć mu dzisiaj: odejdź, bo ja cię nie kocham.

Nie, to nie było wcale podobne do Kai. Pod tym względem Kaja miała zawsze charakter. I gdyby nawet tak było, gdyby to wszystko prawdą być miało, to na napewno nie załatwiała by tego wszystkiego przez posłańca, ale stanęłaby przed nim twarzą w twarz i wyjaśniła osobiście rzecz całą.

Później przypomniał sobie nagle, że żona, wspominając mu w listach swoich do Afryki o różnych osobistościach, z jakimi się zetknęła lub które pozostawały na jej usługach, nigdy nie wspominała o jakimś panu Kidzie Avare, jako swoim sekretarzu. Przecież sekretarzem jej osobistym był jakiś Anglik, pan Tear, młody malarz, arystokrata.

— A czemuż to miałbym pana posłuchać, skoro nie chcę?

— Bo — ja pana mogę zmusić do podpisania tego papieru.

Roger zaczął się wesoło śmiać. A jednocześnie w jednej chwili zrozumiał, że jego domysły o zamachu są zupełnie słuszne. Teraz byłby dał głowę za to, że ani ten list, ani to oświadczenie zgody na rozwód nie pochodzi wcale od Kai.

— I jakimże to sposobem zamierzasz pan przymusić mnie do spełnienia swojej woli, której ja spełnić nie chcę?

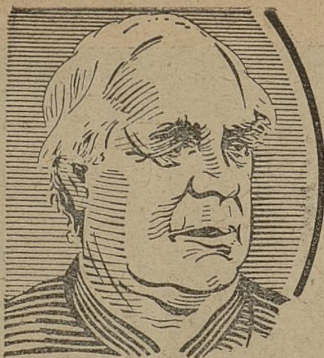
Roger zmierzył surowym wzrokiem naburmuszonego teraz grubasa, a jednocześnie przez myśl jego przebiegło jak błyskawica przypuszczenie: na co odważą się teraz ci ludzie?

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

LUCYNA ROKOMYSKA

7)

Biały Płomień



A czy myślała źle o Andrzeju?

Właściwie nie. Bo odganiała każdą taką myśl. Chodziła teraz po domu cicha, zamknięta w sobie, napozór ta sama, a jednak inna. Inna, bo dawniej najmilsza jej była samotność — a teraz formalnie pragnęła gwaru — ruchu... Dawniej — intruzem był każdy gość, każdy przychodzeń, bo odciągał jej myśli od męża... Teraz błogosławiła każdego, kto przyszedł. Każdego, z kim mogła porozmawiać — ot, tak sobie: o wszystkim i o niczym...

Z matką mówiła bardzo mało. Bała się; wiedziała bowiem, że pierwsze słowo matki o tym — będzie obwinieniem Andrzeja. — A tego nie chciała za nic, bo jakby mogła zaprzeczyć? Jaki dać dowód, że nie postąpił źle?

Ona nie winiła go wcale. — Zawsze, gdy dusza poczynała boleć — wyciągała prędko z zakamarków serca długą litanię promiennych przeżyć z Andrzejem i przeciwstawiała je temu koszmarnemu popołudniu i tym słowom, które ją do dziś najwięcej bolały; słowom: Dwa lata się zmagałem...

I było jej coraz lepiej.

O, tak! — Stanowczo szala szczęścia przeważała!

— Więc nie mam prawa czuć się pokrzywdzoną! — przemawiała coraz częściej do siebie. — Nie mam prawa roztkliwiać się nad sobą!

Jakby w pomoc stanowczym słowom, nadlatuje jasne, drogie wspomnienie:

Maj gościł na ziemi — więc stroiła się we wszystkie odcienie zieleni. Wiedziała bowiem, że kolor ten jest mu najulubieńszym.

Kwiatów miała już niewiele; rozesłała je pod stopy niedawno odeszłemu kwietniowi. — Kwitły jeszcze bzy bukietami liliowych pron, woniejące jak kadzielnice; — kasztany ustrojone tysiącem kwiecia, uroczyste, niby choinki Bożego Narodzenia i zaczynały rozkwitać w białe gwiazdeczki, pachnące upojnie jaśminy.

Wieczory były srebrne od światła miesiąca — gwarne żabimi chórami i kwileniem słowiczym w gąszczach...

Lutę opanowała niezmożona tęsknota za mężem...

Tak dawno nie był: — Ostatni raz na Wielkanoc. A Wielkanoc tego roku była bardzo wcześnie: w połowie marca.

— Nie przyjeżdża? — Pojadę ja do niego! — postanowiła.

Pojechała. — Gdy przyłożyła palec do dzwonka przed mieszkaniem męża, — serce poczęło jej skakać w piersi, jak szalone...

— A może Andrzej będzie nierad? — Nie przyjeżdżał, więc nie ma widocznie czasu.

Trzask zamka w drzwiach — i Andrzej stanął w progu. Chwilę popatrzył, jakby nie wierzył własnym oczom... (nie była u niego jeszcze nigdy). A po tym powiedział:

— A co to za bobo do mnie przychodzi?

— Nie przyjmę!... Wygonię! Wypędzę! — porwał ją w uścisk tak nagły i szalony, że straciła oddech.

— Luteńko... kochanie... Myślałem o tobie... I cieszę się — cieszę, żeś przyszła...

— Cieszysz? — podniosła brwi wysoko.

— A — wypędzę... wygonię... — czyż tego nie słyszałam?

— Nie wypędzę i nie wygonię — tylko uduszę w ramionach!...

Przypadł znów do niej.

— Po południu wybrali się oboje na „zwiedzanie" Krakowa, choć oboje znali go bardzo dobrze.

— Ale razem nie byliśmy tu jeszcze nigdzie. Więc będzie to pierwsze i najmilsze zwiedzanie we dwoje... — orzekła Luta.

Potwierdził skinieniem głowy i uśmiechem.

Poszli.

Na ślicznych „Plantach" krakowskich były jeszcze wówczas wszystkie stare drzewa... Dostojne, pełne uroku aleje, brały ci serce świątynną ciszą... A gdy wtuliłeś się w jaką ustronną ławeczkę i chciałeś posłuchać, to drzewa — olbrzymy gwarzyły z tobą... szumiały ci o wszystkim, co widziały, nim wzrosły w potężne pnie i w rozłożyste konary.

Nie wiedziały tylko jednego: — Nie wiedziały, że... niedługo przyjdą ludzie — wandale i położą im kres...

— — — — — — —

— O, patrz Andrzeju! Najwięcej lubię tę długą, mroczną aleję, w którą teraz wchodzimy. Idzie się nią... idzie... idzie — aż do tego wąziuchnego końca tam — w dali — — Nagle... baldachim tkany z zielonych liści — kończy się nad naszymi głowami — i olśnionym oczom jawi się... kamienny cud: Wawel!

— Takie wielkie, nigdy niezapomniane wrażenie — prawda Andreo?

— Tak, Luto — potwierdza Andrzej.

— Kraków, to najpiękniejsze miasto Polski! — dodaje jeszcze po chwili.

I jeszcze takie przejasne wspomnienie:

Po obejściu wkoło katedry — po zatrzymaniu się przy każdym sarkofagu, na chwilę, uklękli przed „Czarnym krzyżem" królowej Jadwigi.

Nawy były puste, ciche...

Luta podniosła nieśmiałe oczy ku twarzy męża:

— Kochany — podziękujmy razem Chrystusowi za szczęście — dobrze?

— Dobrze, carissima...

— Ojcze nasz... — zaczęła wzruszonym szeptem.

Zawtórował jej głęboki, piękny głos męski.

Gdy wyszli z katedry, Luta miała na twarzy jeden z najradośniejszych uśmiechów i ogromne, jasne łzy w oczach...

— Luto, płaczesz — a nie widziałem cię nigdy jeszcze piękniejszej! — powiedział Andrzej biorąc obie jej ręce i przyciskając kolejno do ust.

ROZDZIAŁ XXVI.

Gdy Basia przyjechała do domu na wakacje — Luta wydawała się prawie spokojna.

— Cieszę się, Basiu, z twojego przyjazdu — mówiła Luta w ten sam dzień przy kolacji. — Do ciebie zawsze ktoś



Miłe zdjęcie z Tokio, przedstawiające przedstawicielki Stanów Zjednoczonych w przerwie meczu piłki ręcznej z Japonią



Studenci paryskiej szkoły sztuk pięknych spełniają uroczysty ceremoniał przy przyjmowaniu nowych studentów.

przyjedzie, będzie więcej roboty w domu; prędzej czas zejdzie.

— Dawniej mówiłaś Luto, że czas za szybko lęci.

— Dawniej tak było...

Chwilę trwała cisza. Milczenie przerwała Basia:

— Co teraz uczynisz, Lutko?...

— Już uczyniłam: związałam wszystkie pamiątki, listy, fotografie wstążeczką lila... — podniosła oczy na Basię, starając się uśmiechnąć beztrosko. Nie mogła. Usta poczęły drżeć...

— Zapomnisz, Luto.

— Tak. — Przypuszczam, że zapomnę...

— — — — — — — —

Rzeczywiście, co ja teraz uczynię? — myślała Luta tej samej nocy wpatrując się otwartymi szeroko oczyma w ciemność zalewającą pokój.

...Że całe już życie mam być samą — do tego się przyzwyczaję... z tym się pogodzę... Ale coraz ciężej jest mi z tym, że nic nie mam własnego, — że wszystko to, co nazywam moim — nie jest właściwie moim. Że każda suknia, każdy drobiazg jest od matki, czy siostry. —

Nie kocham pieniędzy — nigdy ich nie ceniłam, ale to jednak wielkie szczęście, mieć własny, przez siebie zapracowany — grosz.

Ileż niesprawiedliwości, mój Boże, — jest na ziemi! — płynie myśl dalej. — Ja, gdybym nie była wątłym dzieckiem: — byłabym tak samo czymś dzisiaj, jak Basia i Pita. — Dom byłby się obeszedł bez gospodarowania małej dziewczynki.. Cóż, kiedy bliźnięta, o cztery lata młodsze od niej — chowały się ładniej i zdrowiej. — Ona, anemiczna, nerwowa dziewczynka, — (Boże! co się też nasłuchała tych słów w dzieciństwie od różnych znajomych matki pań, które czuły się w obowiązku przy każdej okazji, składać matce wątłej, anemicznej dziewczynki „kondolencje" z tego powodu...) zamiast rośnięcia do czegoś — odznaczyła się tylko tym, że miała za sobą wprost rekordową ilość zemdleń...

— Naprzykład: wystarczyło, aby ją w kościele doleciał zapach kadzidła — a już bęc na ziemię. — W szkole znów, szereg wyciągniętych równo na ławki dziecięcych rączek, doprowadzał ją do omdlenia...

Mimo jednak tej rzeczywistej i „opiewanej" wątłości, Luta uczyła się bardzo dobrze i pani Ciembronowiczowej nawet przez myśl nie przeszło, aby swojej najstarszej córki nie miała dać dalej uczyć, jednakowoż stanowczo rozradził jej ten krok znajomy lekarz, znający Lutę od małego dziecka. — Zabije ją miasto — twierdził.

Gdyby nie to — myśli z goryczą Luta — byłabym już dawno pracowała na siebie. — I nie miałabym tyle czasu... na marzenia. — Więc może też nie pokochałabym tak bez pamięci i tak... bezkrytycznie?...

Teraz już nie marzę — ale pełno wokoło mnie wspomnień... I nie mam ich czym odgonić, bo to co robię codziennie w domu, czy w ogrodzie — nie zabiera mi myśli...

Och! pracy! Pracy! — ale takiej, któraby mię wzięła w swe władanie niepodzielnie! Aby mi skradła każdą myśl, każde pragnienie... Aby stłumiła ten okropny, krwawy żar w sercu!...

Ostatnią myśl, najgorętsze jej pragnienie obecnie, wymówiła Luta prawie głośno. giego łóżka sennym głosem.

— Nic, Basiu. Śpij!

Luta leżała dalej z otwartymi oczyma. Sen nie przychodził.

...Basia, — myśl zeszła na inne tory — szczęśliwa Basia. — Zrównoważona, spokojna. — Zawsze taka była. Ona, Luta, — od dziecka była inna. Pamięta nieraz: złapawszy Basię za ramiona, potrząsała nią — wołając:

— Basiu, stracże już raz ten spokój! Zakochaj się, albo co! Ma się wrażenie, że niczego nnie potrafisz zapragnąć!...

A widząc, że Basia wygląda, jakby się miała obrazić — dodawała:

— Mam na myśli naturalnie, miłość!

— Teraz nie mam czasu na to, bo się uczę — odpowiadała Basia całkiem poważnie.

A po tym, gdy skończyła szkoły i dostała posadę, nie miała czasu na „to" jeszcze bardziej. Traktowała swą pracę niezmiernie serio, przykładając się z całych sił do niej. I było jej dobrze.

Szczęśliwa Basia — szepnęła znów półgłosem. Zazdroszczę jej tej pracy — tego niczym niezamąconego spokoju i tego niewybiegania naprzód..

Ja nigdy w miejscu ustać nie mogłam. Zawsze, długo naprzód pragnęłam i wołałam tego, co mi później przyjść miało...

I dlatego teraz tak boli, że odeszło na zawsze to upragnione, to na długo naprzód wołane...

— — — — — — — —

Brzask począł budzić ziemię... zaglądać do okien domów.

Szedł piękny, wonny dzień lipcowy.

ROZDZIAŁ XXVII.

— Patrz, Luto, wrzosy już kwitną... Moje najulubieńsze kwiatuszki... Jesień idzie. Jeszcze tylko parę dni wakacyj i trzeba wracać do pracy, — mówiła Basia odrobinę posmutniałym głosem.

Szły wyrębem leśnym — ścieżką wyciętą w olbrzymim, liliowym dywanie wrzosów. Kilkanaście kroków przed nimi, biegła Pita, ponoszona wprost przez Athosa, któremu najwidoczniej nie podobało się to, że go prowadzono na smyczy.

W powietrzu snuł się przedziwny spokój, pachniało sosną i wilkotnymi mchami.

— Człowiek, to jednakowoż strasznie mocna rzecz — żelazna... — poczęła Luta patrząc zadumanymi oczyma przed siebie. — Przejdzie po nim taki huragan: nieszczęście — i nie potrafi złamać; pochyli, zegnie ku ziemi, a nie złamie...

Przerwała, schylając się ku czarnej, soczystej kiści ostrężyn, wiszącej nad samą ścieżką.

Po chwili podając Basi na dłoni czarne jagody — mówiła dalej:

— I znów po jakimś czasie widzi się jak dawniej piękno każdego kwiatka, — cud wschodu czy zachodu jej złotej kuli, — lub urok takiej oto leśnej dróżyny...

— Nie zmienia się w nas właściwie nic — kontynuowała po małej przerwie. — I gdybyśmy jeszcze nie mieli tak głęboko zakorzenionej miłości własnej, to bylibyśmy zawsze szczęśliwi; zawsze — i pomimo wszystko. ...Bo nie zdajemy sobie tylko sprawy, ale tak już jest, — że nigdy nie żałujemy czegoś, czy kogoś — jeno siebie... Płaczemy, że to z czym nam było tak dobrze — minęło... że już nigdy nie wróci...

Luta szła chwilę w milczeniu. — A po tym powiedziała jeszcze:

— Ja dużo takich małych, przyziemnych łez wylałam — i wstyd mi teraz... bo wiem, że są również łzy wielkie... Łzy, których się wstydzić nie potrzeba...

— Tak Luto — odezwała się Basia — dużo jest takich bolesnych rzeczy na ziemi, na które nie szkoda łez. — Naprzykład: gdy widzi się dzieci brnące po przez zaspy

Ciąg dalszy na str. 953.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

KRZAK GŁOGU

Stoisz w ogrodzie, tak wciąż samotny
I cień swój kładziesz na moje okna
W każdy dzień jasny, lub pełen słoty,
Ty cichy głogu, od dżdżów rozmokły.
Oto dziś widzę, jak znów ogrodnik,
Nakłada różom słomiane wieńce,
A ty, choć pędy wyciągasz głodne,
To nie otulą cię żadne ręce.
I przez dni wszystkie stać silnie musisz,
Wśród burzy wichrów i deszczu bicia
I bunt wszelaki, jak płaza zdusić,
Tu, w tym milczącym swoim ukryciu.
I tylko z dala — patrząc na ciebie —
Jak trwasz w chochołów rzędzie różanym,
Tę myśl serdeczną ktoś śle od siebie:
„O, głogu, bracie ty mój kochany!...

Maria Zemmlerówna.

LIST PANA STARCZY ZA REKOMENDACJĘ!

„Cygan nieznany“. Przyjmuję Pana do naszego grona bez wielu słów, bo uważam, że najlepiej przedstawi Pana Jego własny list:

„Miałem prawo spodziewać się od znanego już wydawnictwa tygodnika w pierwszorzędnym gatunku. Zanim otrzymałem zamówiony numer, stawiałem mu więc wymagania bardzo wielkie. To jednak, co otrzymałem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

Tygodnik — naprawdę dla wszystkich — redagowany bardzo wzorowo, może i powinien, przy skromnej choćby propagandzie, prowadzonej przez czytelników, zakasować wszystkie groszowe wydawnictwa żydowskie, których niestety jeszcze pełno na księgarskim rynku.

Nie pragnąc wchodzić w szczegółową krytykę „Moich Powieści“, wyrażam tylko Wydawnictwu moje największe uznanie i gotowość propagowania polskiego tygodnika wśród mych przyjaciół i znajomych.

Żałuję jedynie bardzo, że nie miałem możności zapoznania się wcześniej ze wspaniałym tygodnikiem. Dla powetowania tej straty postarałem się o cztery pierwsze numery „Moich Powieści“. Porównałem z nimi najnowsze egzemplarze i... byłem zachwycony! Co za szalony postęp i ulepszenie!

Pragnę odtąd być stałym czytelnikiem i abonentem „Moich Powieści“ i dlatego uprzejmie Łaskawą Panią proszę o przyjęcie do sympatycznego grona „Krainiaków“. Będzie to dla mnie naprawdę wartościowe, tym więcej, że — jak zdążyłem zauważyć — atmosfera w miłej „Rodzince“ jest bardzo serdeczna i szczera, a to zawsze bardzo mnie pociągało.

Nie wiem, czy to wypada od razu w pierwszym liście prosić o zamieszczenie komunikatów. Ośmiela mnie jednak ich mnogość w każdym numerze i dlatego już bez żenowania proszę o łaskawe podanie kochanym „Krainiakom“ płci obojga, że pragnę nawiązać z nimi korespondencję. Na każdy otrzymany liścik odpowiedź murowana! Jestem młody, nawet bardzo młody (nie przekroczyłem jeszcze dwudziestki), pełen zapału i wiary, trochę marzyciel i trochę idealista.

Poza tym proszę zamieścić komunikaty do niżej podanych członków wielkiej rodziny „krainiackiej“:

Halo! „Kaziu Czarnulko!“ Interesuję mnie Pani. Może otrzymam od Pani jakiś miły liścik! Odpowiedź odwrotna. Pasjami lubię czarnule.

„Cisieńko!“ Proszę przyjąć pozdrowienia od gorącego entuzjasty sportu.

Miłe pozdrowienia dla „Kaliny“, „Uśmiechniętej Szatynki“, „Brzyduli“ i wszystkich miłych „Krainiaków“.

P. Józefowi Baranowskiemu osobno uznanie za piękne wiersze!“

MOŻE APEL?

„Ilar IV“. To dobrze, że ma Pan tyle satysfakcji z faktu swej przynależności do „Krainy“. Sądzę, że satysfakcja ta stale będzie wzrastała. Dziwi mnie trochę, że nie znalazł Pan przyjaciela w miejscu swego pobytu, bo wiem, że jest tam człowiek, który ma podobne Twoim zainteresowania — czyż byście nie spotkali się dotąd? A może da Pan odpowiedni apel, który Was zbliży?

Jeżeli chodzi o dwie opisane mi przez Pana „manie“, to jedna z nich nie przedstawia się beznadziejnie, a o drugiej nie mogę nic powiedzieć, jako, że nie widziałam żadnej z Twoich prac malarskich.

Ale wróćmy do tej pierwszej! Otóż nowela Pana ma poprawny styl, za to temat jest banalny, a rozwiązanie przeciętne i mało ciekawe. No i operuje Pan jeszcze zbyt małą ilością słów! Ze względu na styl szkoda mi skazać tę nowelkę na całopalenie, a znowu temat zniechęca mnie do przedrukowania jej. Może zdecyduję się jednak dać ją do druku, choćby dla rzetelnej zachęty.

Niech Pan dalej pracuje, ogromny kładąc nacisk na oryginalność tematu i rozwiązania zagadnień, poruszonych w swoich nowelkach.

Z wierszyków do druku wybrałam „W obce strony“, „Wichry“ i „U wrót cmentarnych“. Ten ostatni ukazał się już w nr. 44 „Moich Powieści“. Reszta wierszyków poszła do kosza.

Pozdrawiam Pana i życzę natchnienia w dalszej pracy!

Komunikaty:

„Te-Em“ — czekam na odpowiedź! Uznanie za wiersze!

„Góraleczko“ — pozdrowienie dla Pani i Gór!



„Szukający Podchorąży“ tuż po uroczystej nominacji na podporucznika - lekarza

SKORZYSTAM!

„Zabłąkany chłopiec“. Niezmiernie mi miło przyjąć Pana do naszej „Rodzinki“.

Z dwóch Pana listów wyciągnęłam mocny aksjomat, że należysz do ludzi b. inteligentnych i zajmująco potrafisz przedstawić rzeczy, które Cię czarują, np. ta „Noc Polesia“. Jeżeli nie ma Pan nic przeciwko temu, to przy okazji skorzystam z tego opowiadania, które zresztą był Pan uprzejmy przeznaczyć dla mnie.

Dziękuję za nie! Ogromnie ujął mnie Pan tym gestem, bo jakkolwiek Polesia nie znam, to jednak interesuję się nim niesłychanie i od dawna już projektuję wycieczkę w tamte strony. Nie wątpię, że raz wreszcie uda mi się ją zrealizować.

Owszem, wolno Panu pisać dużo, bo ma Pan tę wielką zaletę, że potrafisz mówić barwnie i zajmująco.

Autor „Rusałki znad Horynia“ nie należy do „Krainy“. A ten Pan, o którego mnie Pan tak ciekawie zapytał, ani zapewne pomyślał, że znajdą się tacy, którzy wezmą go za Semitę.

Na koniec mogę z przyjemnością Pana objaśnić (to ostatnie Jego pytanie), że ów Pan ani jest łysy, ani nie hoduje jeszcze brody.

Fotografię zamieszczę wkrótce.

Ewentualna wizyta P. w redakcji będzie bardzo mile widziana, zarówno przeze mnie, jak i Wujka Janusza, któremu mówiłam o Panu.

Pozdrawiam Pana przyjaznym uśmiechem i przedrukowuję Jego apel:

„Mili — „Krainianki“ i „Krainiacy“! Przybłąkała się jeszcze jedna marnotrawna dusza do „Krainy“ i wita mile i serdecznie Jej wszystkich mieszkańców swoim hasłem „Ku chwale beztroski“, — prosząc o przyjęcie w swoje grono. Jestem sam, otoczony ciszą poleskiej pustki, a że podobno grzeszę gadulstwem i strasznie lubię gawędzić — napiszcie do mnie! Odpowiem z nawiązką!“.

UPIORY

Idzie słota —
Dżżysta, zmoknięta,
Przesiąknięta
Zgnilizną.
Uszargana,
Sparzona
Mazią błota.
Zimna — przejmująca dreszczem,
Skąpana deszczem,
Wyje — skowycze — jęczy,
Dręczy
Szarugą,
I smutną
smugą
wlecze się
po lepkiej
ziemi....

— — — — — — —

Przyszła — smutna jesień —
Nie uśmiecha się, nie grzeje,
Nie spogląda radośnie,
Nie wyciąga przytulnie swych dłoni,
A jęcząca żałośnie
wieje......
I szaleńczo po polach wciąż goni
I rozpacznie chłód, głód, nędzę sieje...

— — — — — — —

Czyjś skowyt,
Czegoś zgrzyt
I wysrebrzył się świt
I ktoś kostnieje.......

— — — — — — —

— — — — — — —

A potem puchu biel — usłana gwiazdy
srebrnymi
I nędza legła — śpi na zamarzniętej ziemi.

— — — — — — —

— — — — — — —

A z dala cicho cmentarny dzwonek łka.
A potem spokój — cisza błogosławiona,
wiekuista, błoga,
I brzózka naga: smutną melodię zgonu gra
I dal w nieznane — w wieczność nieznana
droga.

Sława Słomczyńska.

PROSZĘ MI POWIEDZIEĆ!

„Heniek“. Proszę mi powiedzieć, czy pracuje Pan jeszcze w Nininie? A może kontynuujesz studia w Poznaniu?

Życzę Panu pomyślności!

POSYŁAM CI UŚMIECH!

„Kropelka leśnej rosy“. Więc spędziłaś dobrze ten okres, w którym „wkuwałaś“ różności, należące do kursu W. F. w Garczynie? To dobrze! Na drugi rok zapewne będzie drugi kurs — co?

Posyłam Ci jasny uśmiech i przechodzę do komunikatów:

„Przybłęda Leśny“ — znasz mnie? Ciekawam ktoś Ty. Czy mieszkasz w P.? Napisz do mnie.

„Rowerzystko z Pomorza“ — wiem kto jesteś — pa.

„Hr. Ulsenie“ — napisałabym do Ciebie ale... napisz Ty pierwszy... Czy zgoda? czekam! Pozostałych pozdrawiam!“

WRACAM

Dawno porzuciłem szeregi „Krainy",
Bez słowa odszedłem, moi Bracia Mili!
Nie chcę tłumaczyć wam smutnej przyczyny,
Lecz dać chcę radość, byście w szczęściu żyli!

Z dalekich szlaków za Wami tęskniłem,
W noc chmurną za Wami poszło wspomnienie
Za Wami w dniach smutnych stale marzyłem
I słałem do Was ukłonów promienie.

Lecz pisać do Was nie mogłem ni słowa,
Bo w życia ciężkiej sprzęgłem się walce,
Że czasem z bólu pękała mi głowa
I w bezsilności zaciskałem palce.

Lecz wracam dzisiaj, spokojny, promienny
Z rokoszną ciszą w płomiennej mej duszy
Czar szczęścia rzucę przed Wami bezdenny,
Co smutki rozwiać na zawsze musi

„Hord".

PRAGNIE KORESPONDOWAĆ

„Pokrewny duch". Pani pragnie korespondować z kimś pokrewnym Jej duchowo, a więc: „Poważnie myślącym życiowo, lubiącym studia i pracę, samodzielnym, energicznym, ale o naturze marzycielskiej, pogodnym usposobieniu, o wielkiej subtelności, wyrozumiałości, o zainteresowaniach ogólnych, szerokich. Zatem z kimś, kto jest „Człowiekiem pracy i czynu", a zarazem potrafi bawić się wesoło, świetnie tańczy, lubi teatr, muzykę, poezję, podróże. Zwiedziłam trochę zagranicy i dużo jeżdżę po Polsce, w myśl hasła: „Cudze chwalicie, swego nie znacie"... Zatem przyjemnie byłoby mi mieć nieznanych przyjaciół, móc ich poznać, wstąpić do Nich w przejeździe etc. Czy znajdzie się w „Krainie" ktoś dla mnie z Krakowa, ze Lwowa? Może Pan „Alchemik" napisze?"

ODEZWIJ SIĘ!

„Wil z Poznania". Czytam Twój dowcipny list, pisany już dość dawno, a równocześnie myślę sobie, że musisz w najlepszym razie bardzo pobieżnie przeglądać „Krainę", skoro dotąd nie zauważyłeś, że Cię w niej często wywołuję. Piszę „w najlepszym", bo stanowczo już gorszym jest przypuszczenie, że nie czytasz „Moich Powieści" wcale.

Ponieważ przy załatwianiu dzisiejszego listu natknęłam się na Twój adres, przeto czym prędzej dosyłam Ci dwa zalegające dla Ciebie listy. Sądzę, że je otrzymałeś.

Na razie ślę Ci pozdrowienia, lecz nie wątpię, że nie raz jeszcze z sobą porozmawiamy!

NIE TRAĆ POGODY!

„Maruta". Jakże to już dawno wpłynął ten list, na który niniejszym Ci odpisuję, kochana Ty Moja! Taki nawał korespondencji mam stale, że ani z niej wybrnąć!

Wiem, że w międzyczasie pisałaś powtórnie, ale na tamten list odpiszę już później, gdy nadejdzie jego kolejka.

Dziecino, zmiłuj się, czyż naprawdę tak ciężko Ci teraz — czyż nie masz nadziei na polepszenie?

Nie masz pojęcia, jak mnie to boli i jak gnębi!...

Nie trać pogody, proszę Cię, zaciśnij zęby i walcz o spokój, a może doprowadzisz do tego, że z czasem i ból minie i zadowolenie stanie się Twoim udziałem. Tylko nie zacinaj się w urazie i chciej kierować się dobrą wolą!

Twoje domysły na temat Wujka Janusza mniejwięcej są słuszne.

A propos — Wujek dziękuje i serdecznie odwzajemnia pozdrowienia.

Komunikatów nie daję, bo są już nieaktualne!

Całuję Cię i pisz!

OTRZYMUJESZ TYGODNIK REGULARNIE?

„Półdiablę". No, Dziecinko, otrzymujesz już „Moje Powieści"? Załatwiłam wszak tę sprawę w administracji.

A teraz przedrukowuję urywek z Twego listu, w którym się przedstawiasz „Kraniakom".

„Jestem dość wysoka, szczupła. Włosy mam długie, ciemno-blond, a oczy, to sama nie wiem jakie — raz są koloru morskiej wody, kiedyindziej zielone lub szare. Ludzie twierdzą, że jestem ładną, ale nie wiem, czy to prawda, zresztą nie lubię się chwalić. Mieszkam w małym, lecz ładnym miasteczku, czuję się tu dobrze, interesuję się wszystkim i prawie zawsze jestem zadowolona i wesoła. Chciałabym bardzo, aby mili „Krainiacy" napisali coś do mnie. Będę oczekiwać niecierpliwie. Pozdrawiam serdecznie Całą „Krainkę i ślę radosny uśmiech!

„Jagódko Leśna", jesteś milutką dziewczyną, napisz do mnie!

„Fredzie", oczekujący chłopczyku, chyba nie długo czekałeś i zapewne otrzymałeś dużo listów? Ja również miałam napisać do Ciebie, ale może Ty uczynisz to pierwszy, czekam!!

„Te - Emie", „Biała Uajali" — wiersze wasze są śliczne!

„Wład", byłam niedawno w Poznaniu, szkoda żeśmy się nie widzieli. Może coś skrobniesz?



„Wesoła Tusia spod Grudziądza" zaszyła się, z wiernym swym towarzyszem polowań i spacerów, w gąszcz krzewów i spadłych jesiennych liści, aby spokojnie móc się oddać ciekawej lekturze „Moich Powieści".

MÓWISZ...

„Kartusz". Mówisz, że pragniesz ze mną zgody, a tymczasem piszesz tak rzadko — myślę, że to grozi rozdźwiękiem. Popraw się!

„Halo! „Mała Konwalijko", Twój bardzo dobry znajomy zasyła ci uścisk dłoni.

„Białej Uajali" uznanie za piękne wierszyki!

„Zuch Dziewczynie" uścisk dłoni i maleńką prośbę: napisz do mnie!

„Sportsmence z Kujaw" całuję łapki w podzięce za pamięć o mnie!

SPORTSMENCE Z KUJAW

Za okazaną pamięć — dedykuję.

Jest jedna bratnia dusza,
Co życia bóle zna
I dla biednego „Kartusza"
Choć jedno słówko ma.
Bo „Kartusz", choć bandyta,
Toż przecież serce ma
I z łzami w oczach czyta
To jedno słówko — „Pa"!

„Kartusz".

OBY!

„Smutna Iwonka II". Cieszy mnie to. Dziecino, że masz kogoś, kto Ci jest szczęściem. Oby tak zawsze było!

Oj, nie gniewałabym się, gdybyś naprawdę uparła się mnie uściskać — tylko, jak chcesz to zrealizować?

„Halo! „Heniek"! Tu mówi „Smutna Iwonka II" — pisz — odpowiedź murowana!

„Przybłęda leśny". Jestem entuzjastką wszystkich (proszę się nie gniewać) borusów. Wasze „Darz Bór" porywa mi serce i muszę za nim gonić do lasu. Gdyby ród niewieści mógł obierać ten zawód, stanęłabym pierwsza w jego szeregu. Odwagi nie brak, gorzej z bezlitosną służbistością. Może napiszesz do mnie, co? A może się znamy? Milutkie pa!

Wszystkim sympatykom i sympatyczkom serdeczne uściski!

OBAWIAŁABYM SIĘ!

„Hrabia Monte Christo". To dobrze, że „Moje Powieści" przypadły Panu tak bardzo do gustu. A nasza „Rodzinka", czy także? Bo my już lubimy Cię, jak starego druha. Dosłownie „druha", bo przecież jesteś zapalonym harcerzem — żeglarzem!

Ideałem Twoim jest brunetka o cygańskiej urodzie, umiejąca pięknie śpiewać, zgrabna, inteligentna, o duszy wrażliwej na uroki i czary natury itd., itd.

Oj, dużo żądasz od swego ideału, wątpię, czy go znajdziesz kiedykolwiek. Całe szczęście, że w naszej „Rodzince" chcesz znaleźć tylko przyjaźń, bo obawiałabym się, że zbombardujesz mi listami „Krainę" w niecierpliwym poszukiwaniu!...

Pozdrawiam Pana i przekazuję w Jego imieniu słowa przyjaźni dla naszych Sympatyków.

TAK LEPIEJ!...

„Samotna Rusałka". Nie zapomniałam o Tobie, choć nie pisałaś już dawno.

Czy to „wielkie szczęście" nie prześladuje Cię i teraz!? Oby tak było, bo tak jest czasem lepiej. Ściskam Ci łapki i zamieszczam komunikaty:

„Smutna Włościanko". Zosiu, czemu nie piszesz do Wandzi z B.? Czy się gniewasz na nią, czy co? Ona biedna martwi się, że nie otrzymuje odpowiedzi. Pozdrawiam serdecznie i pisz do Wandzi z B!

„Bursztynowe Serduszko"! Znamy się. Pozdrawiam — zgadnij kto.

Pan J. K. Pakość. Co się z Panem dzieje? Już prawie pięć miesięcy nie mam żadnej, żadnej odpowiedzi. Na mój ostatni list pisany przed Wielkanocą nie otrzymałam jeszcze do dziś ani słówka. To tak się postępuje z przyjaciółmi? Zrywa się korespondencję bez jednego słówka usprawiedliwienia? No, no, tego to się nie spodziewałem! Zasyłam pozdrowienia i czekam chociaż na słówko usprawiedliwienia. Adres jak zwykle.

Dla „Jasia Sokoła" i „Pella" przesyłam serdeczne pozdrowienia i milutki uśmiech. Może napiszecie? Pozdrowienie dla Całej „Rodzinki", a także „extra" dla „Rusałki", „Zbijobruka Poznańskiego", „Marzenki" z Ameryki. Tej ostatniej serdeczne dzięki za list. Niestety, nie jestem Poznanianką, jak myślałaś, a Pomorzanką z krwi i kości i jestem z tego zadowolona.

PRZYJMUJĘ WAS!

„Stefa i Marysia" oto co piszą do nas: „Krainko"! Z niepokojem, lecz równocześnie z nadzieją piszemy do Ciebie. Czy zauważy kto dwie nowe przyjaciółki „Krainki", które wstępują w progi nieznanego świata, onieśmielone i przejęte ważnością chwili.

Przyjmijcie nas serdecznie! Kochamy „Krainkę" i wszystkich „Krainiaków", nawet tych co rzadko się odzywają i krótko, i tych, co piszą kilometrowe listy i tych, co piszą wiersze i tych, czyje wiersze giną w czeluściach głębokiego redakcyjnego kosza. Nie smućcie się! Wuj Janusz szczerze płacze nad prochami Waszych natchnień.

Pragniemy i my znaleźć się w Waszym gronie „Krainianki" i Krainiacy", przeżywać wraz z Wami radości i smutki.

I Panią bardzo kochamy, Dobra Pani Zofio, za to, że umie Pani splatać przyjaźnie dłonie nieznających się „Krainiaków". Taka jest Pani dla wszystkich serdeczna i przyjazna — czy i dla nas znajdzie Pani trochę serdeczności. Może być niedużo, bo tyle „Krainiaków" czeka na Pani odpowiedzi. To przecież bardzo trudno napisać każdemu coś miłego — trzeba naprawdę wiele mądrości, aby nikogo nie urazić i wiele przywiązania do „Krainki", aby o wszystkich pamiętać. Podziwiamy Panią! Teraz przedstawiamy się Pani:

Jesteśmy siostrzyczkami. Zewnętrznie podobne do siebie. Czarne oczy — jedne wesołe, drugie smętne. Szczupłe, średnio wysokie. Kochamy się bardzo, stale przebywamy razem, nawet myśli nasze i pragnienia są równe. Razem więc poznałyśmy „Moje Powieści", razem postanowiłyśmy napisać do „Krainki" i wybrałyśmy wspólny pseudonim: „Stefcia i Marysia".

Wujowi Januszowi komunikujemy, że i do jego teczki wtargnie niedługo kilka wierszy naszych. Choć wiemy, że Wuj świetnie umie palić „arcydzieła" i leczyć wierszomanów z nieszczęśliwej choroby, prowadząc ich na prostą ścieżkę prozaicznego życia. Trudno! niewszyscy są poetami.

„Biała Uajali" kochamy Cię, nieznana, za Twe wiersze. Całujemy.

„Blanka" pisz więcej pięknych wierszy! Pozdrowienie od nieznanych.

„Józef Baranowski"! Poeto! oczarowałeś nas twymi utworami.

„Dyktator" — pozdrawiamy Cię.

„Wędrowna chmurka". Jesteś smutna i szczera — przesyłamy Ci buziaki.

„Uszi" i „Kresowiak z Leszna" — Pozdrowienie od leszczynianek.

„Fenia znad jezior" — podajemy Ci przyjazną dłoń. Czy przyjmujesz?

„Kalina", mamy do Ciebie szczerą sympatię.

„Szara Falo", interesujemy się Tobą.

„Niedźwiedź z puszczy" — przyjm pozdrowienia.

Pozdrawiamy wszystkich z „Krainki".

JESTEM SOBIE...

„*Wiochna*" prosi nas o miłe przyjęcie do „Rodzinki" i tak mniej więcej mówi o sobie: „Jestem taką sobie czarnulką o niebieskich (podobno marzących) oczach i serduszku, co bardzo kocha lasy, łąki, pola i cały świat! Chciałabym bardzo korespondować z kimś miłym, z kimś, co zachwycać się umie najdrobniejszym kwiatkiem i marzyć umie — choć marzenia się nigdy nie spełniają.

Pozdrawiam wszystkich i proszę o pamięć!!!

NIE CHCĘ BYĆ ZŁYM PROROKIEM!

„*Fariza*". To niedobrze, Dziecko, że mierzysz ludzi nie ich zaletami wewnętrznymi, a wyglądem zewnętrznym, jak tak zawsze będziesz czyniła, to niejeden zawód stanie się Twoim udziałem, mimo, że jesteś młoda i ładna. Przykładem będzie ten ktoś, o którym mi pisałaś z takim entuzjazmem. Ja nie wierzę, aby to był dobry człowiek, a wnioskuję to z jego postępowania.

Nie chcę być złym prorokiem, ale... przyszłość sama wykaże, czy wątpliwości moje są bezpodstawne.

Całuję Cię!

„Rusałko"! Pozdrawiam Cię, może napiszesz?

„Ferdy"! Odwzajemniam pozdrowienia, ale napisz pierwszy, ja nie mam odwagi.

„Elem n/Notecią" zadowolony Pan? Przyzna mi Pan, że korespondencja dalsza byłaby bez celu.

Pan Br. L. Wiele. Żałuję, że nie mogłam zatańczyć z Panem tanga na zjeździe „Krainiaków", ale może znajdzie się sposobność, gdy nastąpi ten obiecany przyjazd do S. Ślę serdeczności!

„Przybłędo leśny"! Jesteś romantykiem? Twój pseudonim dużo mówi: „Willy", czyś Ty jest W. L.?

Wszystkim „Krainiankom" i „Krainiakom" wiele radości, a Pani Zosi wiecznego zadowolenia życzę!"



MISTERIA JESIENI

Kołysały mię wieczorem
Purpurowo — złote zorze,
Kiedy mgła się snuła borem,
I tęsknota po ugorze...
Upadały na mą głowę
Złote liście konające,
Lśniły zorze purpurowe
Po bagniskach mgłą wiejące.
Gdy błądziłem wieczorami,
Księżyc srebrny z chmur spoziera,
Lśniły trawy rosy łzami,
Sen o wiośnie mi umierał.
Kołysały mię wieczorem
Purpurowo — złote zorze,
Otulały serce chore
Mgły błądzące po ugorze...

„*Erry Olgin*".

TROCHĘ CIERPLIWOŚCI!

„*Erry Olgin*". O, o! Nie bądź proszę taki niecierpliwy — bardzo chętnie otrzymuje Twoje wiersze, ale... nie Ty sam jesteś członkiem mej „Teczki" i nie Tobą jedynie mam prawo, tudzież obowiązek się zajmować! Tych, którzy oczekują mniej lub więcej cierpliwie (zależy, jak kto) moich odpowiedzi, jest dużo, a ja jestem tylko jeden i mam ograniczone miejsce na swoją „Teczkę". Już i tak nadużywam uprzejmości p. Zofii, wycyganiając znacznie więcej miejsca na odpowiedzi dla Was, niż mi się to właściwie należy. A czynię to właśnie po to, aby uniknąć podobnych Twojej wymówek. Teraz już wiesz — prawda? To i dobrze! Zatem przejdźmy do Twoich wierszy!

Otóż z przyjemnością mogę Ci powiedzieć, że są one oryginalne i płynne, a to znaczy wiele. Do druku pójdą: „Misterie jesieni", „Marzenie", „Do wieszczów" i „Moje wieczory". Pozdrawiam i czekam na nową przesyłkę!

WIERSZE UZUPEŁNIĆ!

„*Wierzba na pustkowiu*". Myli się Pani, sądząc, że wierszyki Jej zostały pominięte przy wydawaniu ocen wierszy, nadsyłanych przez naszych sympatyków. Myli się Pani bardzo, bo oto dziś idą pod młotek krytyki następujące Jej tworzywa poetyckie: „Matuś moja!", „Czy pamiętasz"?, „Cicho — czemu?", „Wśród pól", „Miłość i szczęście" i „Gdzie szukać?". Z nich trzy pierwsze pójdą do druku, a trzy dalsze radzę Pani uzupełnić, zmienić w nich niektóre określenia i upłynnić, że tak powiem, rytm.

Po poprawce, proszę nadesłać mi je powtórnie, a wierzę, że z powodzeniem będę mógł je również zakwalifikować do druku.

Pozdrawiam Panią słowami, pełnymi życzliwości i zachęty do dalszego komponowania!



„Mary" wygodnie spędzała wolne godziny w okresie letnim

MATUŚ MOJA!

Śniłaś mi się matuś moja, dziś z samego rana,
Śniły mi się oczy Twoje i twarz roześmiana.
O mateńko! jakże tęsknię za Twoim uśmiechem
Tkliwe słowa Twej pociechy, brzmią w mym sercu echem.

Przed oczyma wciąż mi stajesz, ty życiem znękana,
Ty coś tyle wycierpiała, matuś ukochana.
Widzę oczy Twe niebieskie, przysłonione łzami,
Gdyś smutna się rozstawała — z wszystkimi synami!...

Teraz już rozumiem wszystko, zrozumiałam życie
I wiem, że Ty dużo, matuś, przeszłaś na tym świecie
Wywalczyłaś przyszłość dla nas, wciąż taka wytrwała,
Choć słonko Twe wcześnie zgasło, choć szczęściaś nie znała.

Więc gdy wspomnę, matuś moja, więc gdy wspomnę Ciebie,
Żal mi, chociaż pewna jestem, żeś aniołem w niebie,
Gdybyś teraz choć na chwilę żyła razem z nami,
Kradłabym dla Ciebie szczęście, promieni snopami.

„*Wierzba na pustkowiu*".

NALEŻY LOGICZNIE WIĄZAĆ TREŚĆ

B. Z. Wasiak — O. W wierszyku Pana pt. „Coraz bliżej jesieni" przede wszystkim rzuca się w oczy nielogicznie powiązana treść, jak np. w tej oto zwrotce:

„Fujarka w łące przycicha,
Z grządek już znoszą niewiasty,
Już nać ziemniaków usycha,
Na miedzach bieleją chwasty".

Ponadto zapomina Pan, że w wierszu tak samo jak w prozie konstrukcja zdań musi być logiczna i skończona — tam również występują podmioty, orzeczenia itd., o czym Pan zdaje się zapominać.

Dalsze dwa Pana wierszyki też słabe — nie zaklasyfikowałem ich do druku.

Nie wątpię, że z czasem dojdzie Pan do większej wprawy w komponowaniu, lecz na razie wiersze Pana są jeszcze b. słabe.

Pozdrawiam Pana serdecznie!

NA RAZIE!

„*To — ja*". Miło mi przyjąć Panią w liczbę członków mej „Teczki". Tym bardziej miło, że z nadesłanych wierszyków widzę, iż będę miał z Pani ogromną pociechę. A to jest dla mnie, wyznawcy rymu, ważne!

Z wierszyków na razie wybrałem „Jesień", resztę ocenię później.

Posyłam Pani dobry uśmiech i proszę o cierpliwe oczekiwanie następnej odpowiedzi!

JESIEŃ

Zawieją żółtych liści rozmodlił się świat...
W pokucie obnażając sczerniałe konary;
Rozsnuły się po ziemi jesienne opary,
Zmartwiał w ogrodach ostatni kwiat...

Zeschłych liści zawieja przejmująco szumi...
Ostrym, suchym szelestem przenika do głębi...
Gorącą krew w mych żyłach dziwnie jakoś ziębi,
Pierś tłoczy smutek i nadzieję tłumi...

Lecz nie ginie nadzieja, bo wiara gorąca
W odrodzenie się wiosny nie zgasła w mej duszy!
I nigdy żadna siła wiary nie naruszy —
Choć ciężkie łzy jesieni ciszę moją zmącą...

„*To—ja*".

NIE PRZEJMUJ SIĘ!

„*Wańdzia z B.*". Nie bierz, Dziecino, za złe temu rysownikowi, że mi posiadanie takich bajecznych okularów i pantofli rannych przypisał — toż to karykatura i jako taka wspaniale wykonana!

Dawno już nie miałem wiadomości o Tobie, pewnie się gniewasz, że nie oceniłem dotąd Twych wierszyków.

Już się do nich zabieram, a Ty w rekompensatę przyślesz mi długi, długi list. Zgoda?

Więc rozpatruję wierszyki: kilka bez tytułu, dalej „Z szumem fal", „Hej wiosenko", „Maleńki mój" itd.

Na ogół są one wszystkie bardzo jeszcze słabe i sporo musisz popracować jeżeli chcesz dojść do jakiej takiej formy w komponowaniu. Do druku nie mogłem, niestety, przekazać żadnego.

Posyłam Ci słowa przyjaźni i radzę nie przejmować się swoim niepowodzeniem w dziedzinie twórczości poetyckiej.

BIAŁA SALA

Trójrząd białych łóżek
Ogarnia spojrzenie,
Na każdym w nich ciało,
Na każdym cierpienie...
Trzy dziesiątki tablic
I prześliczne palmy...
Uskrzydlone siostry
Wieczorne nucą psalmy...

One niby gołębice
Miłosierne sługi....
...Przed Niepokalaną
Ogonek lampki mruga...

Nadmiarem cierpienia
Rozrywa krtań łkanie...
Miękkim ruchem — siostra
Chorej członki osłania.

W misternych dużych salach
Dzień i noc wre praca...
Tam — waży się życie...
— gaśnie.. albo wraca...

Rozpaczliwe skargi...
Gorzka męki czara
W brzemiennej bólem ciszy
Przesuwa się mara....

Tu nędzne cielesne
Straszliwe majaki...
Kościstymi palcami
Zaledwie tlejące
Gasi życia iskierki!
. . . .
W upiorne długie noce
Szeleszczą cicho palmy...
Skrzydlata biała siostra...
Zmarłym szepce psalmy...

„*Romier*".

MASZ RACJĘ!

„Hord". Zadowolony jestem, że znowu odezwałeś się do mnie szczerym słowem, Drogi Przyjacielu! Masz słuszność, że życie, ludzkie jest jak fale morskie, które po dalekim odpływie wracają i kładą się na pierwotnym brzegu. A ja mam to okazję częściej, niż ktokolwiek stwierdzać.

Z wierszyków Twoich do druku wybrałem „W dumań godzinie" i „Wracam".

Posyłam Ci uścisk dłoni i zachętę, abyś nie ustawał w pracy!

W DUMAŃ GODZINIE

Gdy czasem w dumań samotnej godzinie
Popłynę myślą w dalekie strony,
Tęsknota za Tobą, Stefku, wypłynie
I brzmi żałośnie, jak pękłe dzwony.

Gdy czasem w dumań samotnej godzinie,
W przeszłość daleką rzucę spojrzenie,
Czar szczęścia snuty przed chwilą — ginie!
Blednie, jak tęcza, złote marzenie.

I wtedy smutno w tej dumań godzinie,
Tęsknota myśli w dal smutne niesie
I życie dalej szarym prądem płynie
I uczuć ludzkich rwie po drodze kwiecie.

„Hord".

WYBRAŁEM JEDEN WIERSZYK

„Czarodziejka". Z wierszyków pt. „O Polsko!", „Sen", „W jesienne dni", i „O świcie", do druku wybrałem „W jesienne dni". Reszta na szmelc — umiesz pisać ładniejsze, więc nie potrzebuję Cię zachęcać drukowaniem słabych.

Posyłam Ci przyjazny uśmiech i czekam na długi bardzo list!

W JESIENNE DNI

Z pastuszych ognisk bije blask czerwony,
Złocą się iskry przez dymy przesiane
i słychać głosy tęskne, rozśpiewane,
pastuszych pieśni rozełkane tony.
Słychać ciągnące, odlotne żórawie
i dzikich gęsi gęganie jękliwe —
to cisza znowu, jeno wierzby krzywe
koszmarnym cieniem mącą wodę w stawie.
Białe przędziwa gdzieś lecą przez niwę,
Białe przędziwa płyną w blaskach słońca —
i płynie w przestrzeń, w jasności bez końca,
moja — za szczęściem — bezdenna tęsknota!

„Czarodziejka".

ŚNIEG

I jasne się szczęście wydaje, jak śnieg,
Co sypie dużymi płatami...
Lecz ciężar szalony na duszę Ci legł,
Zmęczoną smutnymi przejściami.

Na ustach i oczach pełno srebrnych gwiazd,
A tylko mi jeszcze brak Ciebie!
I taki jest cudny wokół cały świat,
Dlaczego więc źle nam... bez siebie?

Tam w dali, ktoś cicho wypłakał swój żal...
Lecz ma jasne szczęście, jak gwiazdy
I ma... czyjeś oczy, choć dzieli ich dal.
I ciągłe przyjazdy, odjazdy...

I ty masz też kogoś — a ja? Cały świat!!
Bo wszystko dokoła jest moje,
Niebo, na którym zastygło srebro gwiazd.
Moimi są też smutki Twoje!...

„Maleńka Dzidzi".

„BIAŁEJ UAJALI"

poświęcam.

Ktoś zabrał, zniszczył, szczęście wymodlone,
Ktoś zostawił samotne serce rozkrwawione.
I pomyśleć o tym, któż to taki, kto to?
Ten, co był Tobie cichutką tęsknotą,
Ten co Ci był szczęściem i tak sercu bliskim,
Ten, co w Twoim życiu był dla Ciebie
wszystkim,
Ten zawiódł Twoje ufności dziecięce,
I prócz goryczy nie dał Ci nic więcej!
Jako lekarz ducha, daję Ci więc „leki":
Zapomnij o nim, zapomnij na wieki!
Wyrządził krzywdę, a krzywda u Boga,
Jest mile widziana? Jak Ty myślisz, Droga?...

H. Justyńska.

NIECH CI PRZYPOMNĘ!...

Niech Ci przypomną mnie te płatki róż,
Te płatki, które, śląc Tobie, całuję!
Kiedy mnie będziesz miał zapomnieć już,
Niech one Tobie wspomną, jak ja Cię miłuję.

Niech one Tobie wspomną, jak nam z sobą
miło było
Choć może kiedyś wyrzucisz je za próg —
Jak wtedy, pamiętasz? Słonko nam świeciło,
Które nam zesłał dobry, Wielki, Bóg?...

I wtenczas nieznany, tak bardzo daleki,
Niech będę wspomnieniem, wszystkich naszych
chwil,
Żebyś mnie pamiętał mój drogi na wieki,
I żebyś myślą zawsze o mnie, żył!

„Dziewczynka z zaklętego młyna".

MOGŁABY PANI!...

„Szatynka z Podlasia". Zapytaniem swoim wprawiła mnie Pani w kłopot, bo nie znam nazwiska tego Pana z fotografii. Przypuszczam, że jest to jakiś amant, lub może statysta filmowy.

Miło było mi usłyszeć, że ów hinduski jasnowidz, co to ogłaszał się w „Mojej Przyjaciółce", rzeczywiście zasługuje na uznanie, dzięki swym trafnym przepowiedniom.

Ależ absolutnie nie wchodzę w to, jakiego stanu cywilnego są moje rozmówczynie, byle tylko poruszały w swych listach tematy interesujące i warte omówienia!

Co do wierszyków Pani, to niestety wyznać muszę, że temat tego pt. „Marzenie" jest banalny i nieciekawy, jakkolwiek forma zdradza, że mogłaby się Pani zdobyć na coś lepszego.

Proszę spróbować! Tematy proszę obierać ciekawe i o ile możności głębokie.

Ten drugi wierszyk, zatytułowany „Czary", zaawansowałem do druku, po poprawce.

Pozdrawiam Panią i w Jej imieniu oznajmiam serdeczności „Krainie".

PRZYCHYLNA OCENA

„Siboney". Z wierszyków Pani do druku wybrałem „Gdy miłości przyjdzie kres", „Jesień", „Gdybym mogła"... Reszta do kosza!

W każdym razie większa ich część uzyskała ocenę przychylną.

SZARUGA

Szaruga... po szybach płyną deszczu łzy,
Skowyczy wiatr w kominie,
To znów chichotem wściekłym bryzga,
To znów przycichnie i przeminie.
Obłędny tańczy pośród drzew,
Wygina, łamie im ramiona...
A łzy jesieni zwolna płyną —
milknie gdzieś piosnka nieskończona...
W taką noc... w sercu się budzi żal,
I wszystkie dobre umierają sny,
Wszystkie marzenia i tęsknoty
Zmieniają się w dwie słone łzy.
I płacze smutna jesień,
Wraz z nią też płaczę ja,
Za oknem moim tuż, tuż...
Zły wiatr rozpacznie łka.

„Siboney".

MOŻE INNE!...

„L'esprit inquiet". Wierszyk Pana pt. „Młodość" za słaby do druku, nie skorzystam z niego. Może inne będą szczęśliwsze.

Pozdrawiam Pana serdecznie.

Andrzejki

W cichy, listopadowy wieczór zebrały się młode dziewczątka, aby powróżyć sobie. Istnieje bowiem stara, polska legenda, że w wieczór św. Andrzeja wróżby spełniają się. Pochylił się więc wianuszek ciemnych głów nad białym



naczyniem z wodą. Jedna z dziewcząteк leje na wodę roztopiony wosk i oto powstają przeróżne fantastyczne figury. Nie są one jednak tak fantastyczne, jak to na pozór wyglądą, bo przypatrzyć im się bliżej — zastyga serce w jakimś przedziwnym zdumieniu i zachwycie...

Oto rączka bladej, dobrej panienki ulała postać, przypominającą mniszkę. Westchnęły cicho cztery młode serduszka. Klasztor! Bladej, dobrej panience klasztor jest sądzony!...

Złoty wosk kapie znowu wolniutko. Z kolei drugiej z panienek trzepoce serduszko z emocji. Co to będzie?!... Koń! Najwyraźniej koń, a na nim lekko zarysowuje się postać jeźdźca. Czarne, piękne oczy i czerwone usta dziewczyny uśmiechają się zwycięsko! Wyjdzie za mąż!...

I tak płyną niecodzienne, pełne cudnego zabarwienia, chwile w ten listopadowy wieczór „Andrzejek".

To, co dzisiaj przybrało z płynnego wosku realny kształt na wodzie, jest symboliczne. To spełni się w życiu! Musi! Młode dusze wierzą w to gorąco. A chociaż losy przyszłości zaprzeczą andrzejkowym wróżbom, to jednak tradycja nie zatrze się. I w jakiś nowy wieczór „Andrzejek" pochyli się znowu wianuszek ciemnych głów dziewczęcych nad figurynkami ze złotego wosku i popłyną znowu wróżby, które... „spełnić się muszą"...

Maria Zemmlerówna.

śnieżne do szkoły — nieraz odległej o parę kilometrów. Dzieci ubrane w podszyte wiatrem, zaduże na nie — ojcowskie „marynarki" i w płócienne, na gumowej podeszwie buciki... Dzieci — chuchaniem rozgrzewające sobie zziębnięte rączyny, aby nie wypadła z nich książka, czy zeszyt — i raz po raz pociągające ku górze opadające wciąż pończochy, na przemokłych i zsiniałych nóżkach... O, jakże okropnie jest przykro, że się na to nic, lub niewiele pomóc może... — westchnęła Basia.

Luta szła w milczeniu; myślała znów o tym, jakby to dobrze było mieć swój własny, przez siebie zapracowany grosz... I jakie to przeogromne szczęście być musi, nie brać nic od nikogo, jeno móc dawać...

— No, chyba wracajmy już Luto; słońce zachodzi, — Basia wskazała ręką na niebo.

— Tak. Ale gdzie Pita? — przypomniała sobie Luta dopiero teraz o „parze", co szła przed nimi.

— Słyszałam przed chwilą ujadanie Athosa. Muszą być niedaleko.

— O, jak Athos szczekał — to go Pita nie utrzyma na smyczy! Pewnie zwietrzył zająca. Zawołaj Basiu!

— Pita-a! Pita-a! — Hop! hop!

Wołaniu Basi odpowiadało na razie tylko echo skryte w lasach.

Gdy wreszcie nadbiegła Pita — Basia aż przysiadła ze śmiechu:

— Pita! Jak ty wyglądasz?!

Pita bowiem ukazała się oczom sióstr w stanie godnym opłakania: z podrapanymi do krwi rękami i z włosami rozburzonymi do niemożliwości. Nad jednym uchem wisiała zawadiacko jakaś zeschła gałązka...

— Jak ty wyglądasz? — powtórzyła Basia nie mogąc pohamować śmiechu.

— No, „jak ty wyglądasz"! — przedrzeźniała siostrę ze złością Pita. — A wszystko przez ciebie! Nicby się przecież psu nie stało, gdyby został w domu. Nie, ona go zawsze wyprosi na przechadzkę! I teraz masz!

— No, ale co się właściwie stało, Pita? Widzimy tylko, że zamieniłaś się w jakąś boginię leśną... Poza tym nie wiemy nic, — uśmiechnęła się Luta.

— Athos musiał coś zwietrzyć — udobruchało Pitę romantyczne porównanie jej do boginki — bo zaczął pędzić, jak szalony. Wołałam na was, ale gdzie tam; pewnie obrabiałyście coś „politycznego"... więc dopóki mogłam, nie puszczałam z rąk smyczy. O, dowodem moja głowa i ręce...

— I ta gałązka nad uchem... — wtrąciła Basia z niewinną miną.

— Właśnie — rozzłościło to znów Pitę. — Ale, o ile teraz zastrzeli gajowy psa, to nie moja wina, tylko Baśki. — Ja umywam ręce...

— Owszem. Bardzo dobra myśl... Po takich podrapaniach... — śmiała się dalej Basia.

Pita jednak mimo „umycia rąk" nie mogła się uspokoić, dopóki nie dopędził je Athos zziajany okropnie, ale szczęśliwy, że użył swobody...

— Pita ma przywilej rozweselania nas — mówiła Luta wesoło, gdy dochodziły do domu. — Pamiętasz Basiu, jak to było wtedy, gdy przyszła kartka z niewoli od wuja? — Nawet mama musiała się wówczas śmiać.

— Pamiętam, tylko wielka szkoda, że Pita powoli zarzuca dawne tradycje... Dzisiaj na przykład miała taką dobrą sposobność...

O ile ci tak na tym zależy — to mogę odnowić sobie i wam wspomnienia... Mam zacząć?

— Nie, nie — Tusiu! — udawała Luta przerażenie. — Lepiej już poczekamy na jaką nową okazję...

Pani Ciembronowiczowa powitała je radosnym spojrzeniem. Takiej wesołej Luty nie widziała dawno.



Wspomnienie z dnia 11. 11. 1918. Ludność Paryża manifestuje na Placu Zgody z powodu zakończenia wojny światowej.

ROZDZIAŁ XXVIII.

W dwa tygodnie po odjeździe Basi — odjechała i Pita do Krakowa.

Cisza otuliła znowu dom pani Ciembronowiczowej. Głucho i pusto było parę dni, a po tym życie weszło znowu w normalne tryby.

Rodziły się dni szare, jednakie i odchodziły, nie przynosząc nic nowego.

Luta ostatnio trochę weselsza i spokojniejsza poczęła się znów łamać w sobie. — Nieraz, w czasie pracy jakiejś w domu, czy ogrodzie — stawała bez ruchu, patrząc łatwo przed siebie:

— Czy całe życie już tak będzie? — rzucała gdzieś w przestrzeń bolesne pytanie. — Tak pójdą te dni za dniami, aż przyjdzie starość i powiem sobie, że właściwie nie byłam potrzebną na ziemi? Że nie zrobiłam nic... że byłam całe życie niczym? Bo czyżbym na to tylko była potrzebną, aby ten miłosny epizod, jaki przeżyłam, wcielił się w życie?

I czyż nigdy nie wyzwolę się z tego omamu, który mi rzucił na oczy ten, ciągle jeszcze najdroższy dla mnie, człowiek?

Och! Wstyd mi... wsted mi — ale czuję, że całowałabym mu nogi, gdyby wrócił do mnie!

Całowałabym mu nogi, a jednocześnie gardziła sobą... Wiem, że gardziłabym... więc modlę się co dzień o to, żeby nie wrócił... żebym go już nigdy nie zobaczyła...

I modlę się, o Boże, abyś ten straszny, krwawy żar w moim sercu — przemienił na czysty biały płomień umiłowania jakiejś pracy — jakiegoś celu, któryby mi duszę dźwignął z ziemi — i podniósł we własnych oczach!

— — — — — —

— Luto, nie czujesz się źle? — pytała pani Ciembronowiczowa patrząc na zmizerowaną twarz córki i na palące się gorączkowo ogromne, ciemne oczy.

— Nie, mamo — fizycznie jestem zdrowa, — tylko zdaje mi się, że my właściwie żyjemy bez celu...

— Jakto, my — dziecko? — nie rozumiała matka.

— My. Ludzie — mamo! — Wszystko, co nas spotka, co mam się zdarzy, dzieje się najprawdopodobniej z przypadku... Dlatego tyle powikłań dziwnych — tyle niepozumień i tyle nieszczęść na świecie...

— Widzisz dziecko, ja ci się nie dziwię, że tak mówisz — spojrzała pani Ciembronowiczowa dobrymi, wyrozumiałymi oczami w oczy córki. — Nigdy się nie mówi nic bez powodu. Ale zobaczysz — gdy odsuną się od ciebie te niedobre chwile i zaczniesz znów na życie patrzeć jasno, a nie przez pryzmat bólu, to będziesz sądziła całkiem inaczej....

Luta siedziała cicho z głową opartą na ręce, wpatrzona w płomień lampy, stojącej na stole.

— Życie jest mądrze i celowo ułożone — mówiła dalej pani Ciembronowiczowa — tylko na własne nieszczęście prawie każdy człowiek ma w sobie coś z mędrka. — Zawsze nam się zdaje, że nie tak jest, jak być powinno; że my ułożylibyśmy wszystko daleko lepiej i mądrzej... Każdy z nas ma takie przewiny na sumieniu. Dopiero kiedyś — po latach — dochodzimy do świadomości, że wszystko nas było potrzebne, nawet nieszczęsne godziny...

— Czyżby, — mamo?

Luta miała pełen niedowierzania uśmiech.

— Zobaczysz dziecko! — Wszak z bólu tylko rodzą się ludzie pełnej wartości! — Tak, ból o ile nie złamie, to na pewno wyniesie!

Ciąg dalszy w nast. numerze.

MARTA DOMAGAŁOWA

ZEMSTA RYWALA

(Osnute na tle prawdziwego zdarzenia)

Był ciepły, letni wieczór. Po wyboistej drodze podążał żwawo młody chłopak — Ignacy Kokocha do swej miłej dziewczyny — Małgosi. Droga była żmudna i daleka, bo dwór, w którym Małgosia służyła za pokojówkę, znajdował się trzy kilometry za miastem. Jednakże... „nie ma złej drogi dla swej niebogi" — jak mówi przysłowie. Toteż Kokocha szybko zostawił szmat wyboistej drogi poza sobą i znalazł się pod oknami dworu. Zastukał lekko w szybę.

Nie spostrzegł się nawet, jak szybko zjawiła się Małgosia. Była to dwudziestoletnia dziewczyna, o ciemnych, nad podziw długich warkoczach, świeżych rumieńcach i niebieskich oczach. Nie było też tajemnicą, że kochali się w niej wszyscy wioskowi chłopcy. Ale żaden z nich tak gorąco nie pragnął jej pojąć za żonę, jak młody Kokocha.

Tego wieczora młodzi poczuli się jeszcze więcej szczęśliwi, niż zwykle.

Ustalili bowiem wreszcie swą przyszłość, a prócz tego umówili się na przyszłą niedzielę na zabawę karnawałową. Gdy rozstawali się, świeciły nad ich głowami wielkie gwiazdy, wśród których płynął wąziutki sierp księżyca...

— — — — — —

O Małgosi różnie mówiono na wsi — dobrze i źle.

— A wiecie wy, Bartkowo, że Ignac od Kokochów smali tego cholewki do Małgosi ze dworu? — mówiła Antoniowa.

— A no!

— Toć dobra będzie gospodyni z Małgosi, przy tym miła kobieta i ładna, kiejby świeca.

— E, co wam też Antoniowo, się w niej podoba. Włosy czarne, jak cyganka i nic nie potrafi, tylko chłopców bałamucić.

— Co wy też mówicie! A wiecie, że troche to macie prawdy, bo — tylko nie mówcie o tym nikomu! — pani ze dworu ma ją wylać ze służby, bo nawet samego dziedzica zaczyna bałamucić!...

— Wej, wej!...

— Jeno krzywda wielka jej się nie stanie, bo Ignac ma dać z nią za trzy tygodnie na zapowiedzi. Słyszałam od Jagusi, która z Małgochą służy we dworze, że dziedzic daje młodej parze bryczkę do ślubu i sam będzie za świadka w kościele.

— O Rany! Że też moja Marynia nie poszła do dworu, toć i ona zażyłaby kiedyś takiego honoru! — westchnęła Antoniowa.

— — — — — —

Nadeszła niedziela, a wraz z nią wieczór zabawy karnawałowej. Małgosia krasna i hoża, tańczyła stale z Ignacem, ku ogólnemu zadowoleniu reszty męskiej młodzieży.

Naraz wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom wejściowym, w których ukazał się wysmukły, ładny chłopak. Był to syn bardzo zamożnego gospodarza z sąsiedniej wioski — Stefan Olszewski. Od pierwszej chwili urzekła go uroda Małgosi. Koniec końców odbił ją Ignacemu i zaczął z nią tańczyć. W przerwach piękna para oddawała się słodkim przekomarzaniom na samotnej ławeczce. Podobały się Małgosi ogniste zaloty ładnego chłopaka, toteż nie zwracała najmniejszej uwagi na swego narzeczonego. Zapomniała o nim, szczęśliwa, rozmarzona i rozgorączkowana niespodziewanym powodzeniem.

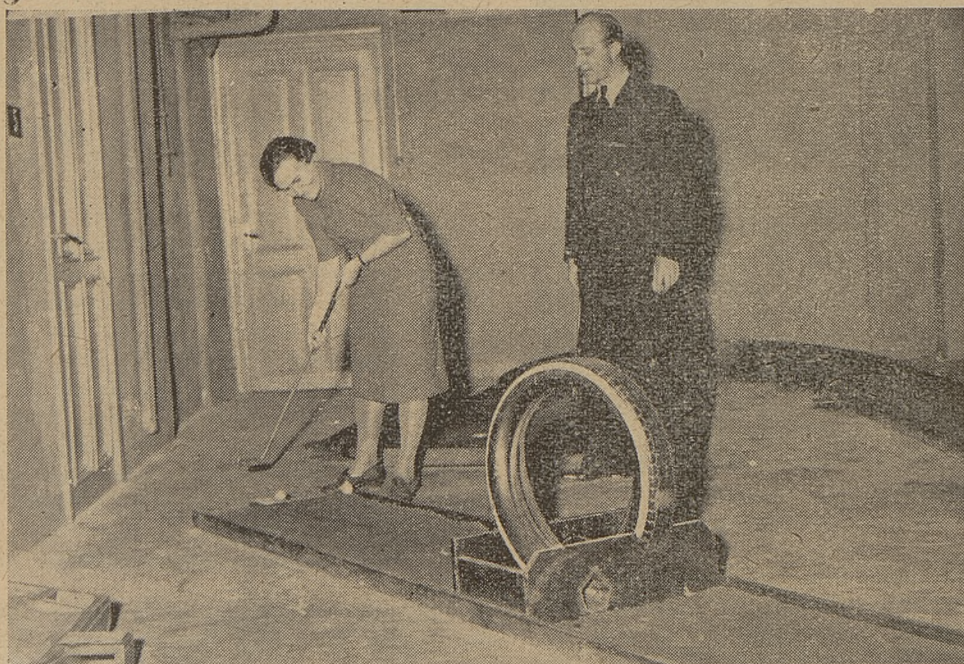
Krótko po północy Małgosia zawinęła głowę w lekki szal i wyszła razem ze Stefanem z sali tanecznej. Udawała się do domu. Odprowadzał ją Stefan.

Nad głowami młodej pary świeciły znowu promienne gwiazdy i płynął wolno jasny księżyc.

Przy dworskim ogrodzie rozstali się.

Małgosia zasypiała tej nocy szczęśliwa i radosna. Nie wiedziała zupełnie o tym, że na drodze, którą niedawno przemierzała, — leży trup z twarzą zwróconą do księżyca. Nie przypuszczała, że z jej przyczyny umarł człowiek, którego przed chwilą pożegnała.

Ignacy, który w obłąkaniu szaleńczej zazdrości zabił swego rywala, zupełnie jej nie przyszedł tej nocy na myśl. Marzyły się jej czarne, palące oczy Stefana...



Z nastaniem zimy szwedzcy amatorzy gry w golfa zaprawiają się nadal w tej emocjonującej grze. Deska wysypana piaskiem i stara opona samochodowa są niezbędnymi rekwizytami tego golfa pokojowego.

ALEKSANDER KIESZCZYŃSKI

Skórka pomarańczy

(Nowela)

Czesław Przenosiński, siedząc w cukierni na Krakowskim Przedmieściu, pilnie czytał gazetę, pijąc czarną kawę. Do cukierni coraz więcej przybywało klientów płci obojga. Nieraz zwiększał się gwar głosów, a niektórzy cichną, gdzie przez radio dźwięczał głos znanego śpiewaka lub śpiewaczki, mieszając się z brzękiem talerzy, szklanek, to łyżeczek. Wtem Przenosiński usłyszał znany sobie głos znajomej z widzenia kobiety, często przychodzącej do cukierni w towarzystwie swojej koleżanki, czy przyjaciółki. Odłożywszy gazetę, ujrzał ją z radością, siedzącą wyjątkowo dziś samotnie w pobliżu przez niego zajmowanego stolika i zamawiającą u kelnera pół czarnej i ciastko z kremem. Znajoma z widzenia, zauważywszy jego uporczywe wpatrywanie się w jej niebieskie oczy, spojrzała na niego zaciekawiona i zarazem zażenowana, po czym szybko pochyliła głowę nad torebką szukając nerwowo w niej czegoś...

— Ilekroć go tu widzę, zawsze ogarnia mnie jakieś nieokreślone podniecenie... Teraz czuję szybsze uderzanie serca... Może to na skutek jego przenikliwych, piwnych oczu... Twarz myśląca, o regularnych, pociągających rysach. Elegancki, poważny... Takiego można kochać — myślała, spoglądając na niego co chwilę.

— Spotykam ją tu od dwu tygodni... Coraz bardziej mi się podoba... Jej twarz o delikatnych rysach, błyszczących inteligencją oczach i ładnie zarysowanej linii ust — świadczy o łagodnym charakterze. Zgrabna. Ruchy ma opanowane. Bardzo sympatyczna. Niekiedy na jej ładnej twarzy zjawia się wyraz tęsknoty i smutku. Musiała przejść wiele — myślał, a zauważywszy, że czerwieni się, powtórnie zaczął przeglądać gazetę, nie chcąc zbyt być natrętnym obserwatorem...

— Czemu nie przychodzi Marta?... Godzinę czekam na nią — myślała z niepokojem, patrząc wyczekująco w kierunku wejścia. Po chwili uregulowawszy rachunek kelnerowi, wyszła na ulicę, nie spojrzawszy na Przenosińskiego, mimo że jakaś siła ciągnęła ją do niego... Przenosiński, zostawiwszy na stoliku należność za kawę, poderwał się z krzesła i krokiem przyspieszonym udał się za nią...

— Przypuszczam, że ją dogonię... Podejdę do niej i przedstawię się... Może zechce się ze mną zapoznać — myślał, zbliżając się do niej...

— Pani wybaczy, że przedstawię się jej na ulicy... Przenosiński...

— Chętnie się z panem zapoznaję, jako ze znanym powieściopisarzem... Dotąd nie zawierałam z nikim znajomości na ulicy — odrzekła głosem miłym, uśmiechając się doń przyjaźnie...

— Od kilku już dni pragnąłem panią bliżej poznać, jednak wstrzymałem się ze względu na pani towarzyszkę...

— Może jakieś wydarzenie przeszkodziło mojej przyjaciółce Marcie, w przybyciu na umówioną ze mną godzinę...

— Pani jest typem kobiety, w której mogą się kochać...

— Słowa pańskie są dla mnie balsamem...

— Przypuszczam, że pani już przeżyła miłość...

— Tak. Miałam narzeczonego, porucznika, którego przejechał samochód... Narzeczony mój umarł w szpitalu — odrzekła, zwiesiwszy na piersi smutnie głowę.

— Bardzo pani współczuję... Może drugi narzeczony pani nie ulegnie katastrofie niespodziewanej...

— Może — odparła, patrząc nań rozszerzonymi oczami, w których czaiło się zapytanie i przenikanie....

— Czy pani była na filmie „Na skrzydłach miłości" — zapytał ją, gdy zbliżali się do kina, w którym był wyświetlany wspomniany przez niego obraz.

— Jeszcze nie.

— Wobec tego może pani zechce pójść ze mną „Na skrzydła miłości" — zapytał uśmiechając się zagadkowo...

Z największą przyjemnością — odparła, uśmiechając się doń przenikliwie... Usiedli sami na krzesłach w loży. Obraz ich wzruszał i rozmarzał... Ich serca biły przyspieszonym tętnem. Jednocześnie obojga ogarnęło coraz bardziej wzrastające uczucie... Drżącą dłonią przycisnął gorąco jej dłoń małą... Oboje poczęli głośniej oddychać... Ona przytuliła się do niego z zaufaniem i spojrzała rozelśniona z dawno nieprzeżywanym zachwytem, uniesionym w jego ciemne, rozmarzone oczy.

Usta swe złączyli długim pocałunkiem. Nagle zapalono elektryczność. Wylękli i zawstydzeni oderwali się od siebie i wraz z innymi poczęli wychodzić z sali po ukończonym filmie.

— Dotychczas jeszcze nie znam twego imienia i nazwiska...

— Stefania Ugieńska, Czesin — odparła, spoglądając na niego roześmianymi oczami.

— Pragnę widywać się z tobą codziennie, moja słodka, kochana Stefciu...

— Ja również pragnę jak najczęściej widywać się z tobą, tym bardziej, że jesteś powieściopisarzem, mającym idee społeczne, artystą słowa, znakomitym psychologiem...

— Są lepsi ode mnie.

— Jesteś skromny, a to dowodzi, że możesz napisać jeszcze lepsze dzieła...

— Być może, że napiszę...

— Jestem przeciwnikiem masowego produkowania powieści kryminalnych, sensacyjnych, bezideowych, wywołujących u czytelnika kult dla przemocy, wybujały, chorobliwy erotyzm, a nie dla ducha...

— Gdybyśmy mieli więcej takich powieściopisarzy, jakim ty jesteś, to by nasze społeczeństwo miało lepszą, zdrowszą, mocniejszą, twórczość...

— Może... Każdy niemal twórca podchodzi indywidualnie, inaczej do powziętych przez siebie zadań i je opracowuje, stąd są różnorakiem utwory...

— Niekiedy powieściowe elukubracje...

— Są one w każdym kraju... Cieszę się bardzo, że poznałem tak kulturalną i rozkoszną kobietę, jaką ty jesteś... Będziesz mnie podniecać do tworzenia, a nie odciągać, jak większość bezdusznych materialistek, które dla dogodzenia swoich egoistycznych celów, zachcianek, zdolne są do wszelkich czynów nieetycznych...

— Marzyłam o takim człowieku, jakim ty jesteś... Dzisiejszy wieczór przyniósł mi dar niespodziewany....

— Mnie również...

— Czesiu, moja matka oczekuje mnie w domu...

— Muszę już jechać. Rano idę do biura.

— Wobec tego pojedziemy taksówką.

— Dobrze. Mokotowska osiemnaście — rzekła szoferowi, siadając wraz z Przenosińskim na miękkich poduszkach wozu.

Przenosiński przycisnął ją do siebie, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i wpiła się chciwie ustami w jego wargi.

Przenosiński zapłaciwszy za kurs szoferowi, wysiadł ze Stefcią na chodnik przed domem, w którym mieszkała.

— Oczekuję cię jutro o siedemnastej w cukierni.

— Przyjdę — odrzekła, podając mu rękę na pożegnanie, na której złożył pocałunek.

— Pragnę zostać żoną Czesia... Kochany człowiek — myślała, idąc po schodach na drugie piętro. Naraz ogarnął ją przed czymś nieodgadnionym ogromny lęk... Poczuła zbliżającą się skądś katastrofę... Coraz szybszymi krokami zaczęła iść po stopniach schodów... Nagle pośliźgnąwszy się o jakiś miękki przedmiot straciła równowagę, rozłożyła ręce jak do obrony, krzyknęła głosem przeraźliwym i upadła w tył, rozbijając głowę o kant schodów marmurowych. Przenosiński, wracając do swego mieszkania na Krakowskim - Przedmieście, poczuł nagle wdzierający się niepokój o Stefanię...

— Może dlatego się niepokoję o nią, bowiem ujrzał powiewną postać Stefanii, zbliżającą się szybko do niego. Uczuł wyraźnie muśnięcie jej warg na swej twarzy...

— Co to?... Chyba halucynacja — wyszeptał zniecierpliwiony... Sen miał niespokojny... Często się budził z nieokreślonym lękiem... Rano wstał wyczerpany po niewyspanej, męczącej nocy...

— Wizje, sny, przygnębienie?... Co to ma znaczyć — zadawał sobie pytania, myjąc się. Jakaś siła ciągnęła go do wyjścia... W kilka minut po tym wyszedł na ulicę, kupując gazetę... Nagle drgnął struchlały, czytając „Śmierć na schodach przez skórkę od pomarańczy... Urzędniczka P.K.O. Stefania Ugieńska poniosła śmierć w klatce schodowej na Mokotowskiej 18. Przeprowadzone śledztwo dowiodło, iż śp. S. Ugieńska pośliźgnęła się o skórkę pomarańczy, leżącą na stopniu schodów, porzuconą przez nieostrożność, czy lekkomyślne niechlujstwo sprawcy dotychczas niewykrytego itd."...

Przenosiński doznał wrażenia, jakby go przywaliła ściana, a zarazem ktoś mu naraz zadał rany tępym narzędziem na całym ciele... Wzrokiem nieprzytomnym spojrzał przed siebie opuszczając głowę na piersi i ręce bezwładnie wzdłuż ciała...

— Czemu nie odprowadziłem jej do samych drzwi — myślał, czując bolesną bezsilność wobec faktu dokonanego. W chwilę potem jechał taksówką na miejsce wypadku, odczuwając gorycz osamotnienia i żal ogromny do mimowolnego, czy złośliwego sprawcy nieszczęścia...

— Odeszła niespodziewanie, w zaraniu naszej miłości... Skórka pomarańczy... gwałtownie ją oderwała od życia na ziemi — wyszeptał, ocierając łzy chusteczką.

JAN FELIKS PŁÓCIENNIK

Zwycięstwo miłości

NOWELA

Zbliżał się wieczór...

Krepowa czerń coraz więcej zalewała mały pokoik na trzecim piętrze.

Młoda niewiasta, siedząc zamyślona na tapczanie, nie zauważyła nawet, jak się ściemniło. Nie zapalała więc światła. Oparta łokciami na kolanach, miała ukrytą twarz w dłoniach, tak, że włosy jej opadły w dół i przesłoniły grymas bólu, jaki malował się na jej twarzy.

— Och, jaka ja nieszczęśliwa... — wyrwał się niespodziewanie szept z koralowych ust młodej kobiety.

— Wódka!...

— Czy on jej nie przestanie pić?

— Nie wyrzeknie jej się już nigdy?

— A może on mnie nie kocha w ogóle. Może tylko w porywie zwykłej namiętności oświadczył się i pobrał się ze mną — przemknęło przez myśl Lusi Czapińskiej. — Bo jeśli ktoś kocha, czy nie może wyrzec się złego nałogu i kochać swój dom ponad wszystko?

— Czy droższi są mu koledzy, niż ja? Wie przecież, że nie powinnam się martwić... że już za trzy miesiące... będzie jeszcze ktoś... na którego przyjście tak bardzo nieraz się cieszy...

— A może wówczas się zmieni? Może dziecko zwiąże ich dopiero prawdziwym węzłem?

Nagle pukanie do drzwi zmusiło Lusię do przekręcenia kontaktu.

Smuga jasnego światła zalała mieszkanie, wkradając się w każdy kącik i fałdy zasłon.

— Idzie, zdaje się! — pomyślała młoda kobieta, podchodząc do drzwi.

— Leonard?

— Nie, to — ja, Maryla! — odezwał się za drzwiami głos kobiety. — Otwórz mi pani.

Zgrzytnął przekręcony w zamku klucz, skrzypnęły drzwi, po czym do małej izdebki wkroczyła Maryla Taborek, sąsiadka Lusi.

— Pani mąż w domu?! — rzuciła Taborkowa, rozglądając się ciekawie po pokoju.

— Nie ma — odparła cicho Czapińska, ukrywając łzy, które paliły jak rozgrzany ołów i domagały się ujścia.

— A, zapamiętalcy! — zasyczała przybyła. — Jak zwykle! Na pewno znów chlejom gorzołe gdziesik w knajpie...

— Żeby to sie przynajmij na tym skończyło, to by jeszczyk, ale jak chłop sie spije, to skory do wszyćkigo... — ciągnęła dalej Taborkowa. — Wnet jako baba nawinie sie, to zaro na kolana jom sobie i tra la la... Już jo to znom...

Lusia zamarła w bezruchu.

— Nie, to niemożliwe — rzuciła po chwili. — Leonard by tego nie zrobił.

— E, pani droga, co pani tam wi! Czy to człowiek na ten przykład może wiedzieć, co łoni wystworzajom? Wódka wszystko zrobi. W tamtym roku naocznie widziałam, kochano pani, jak „mój" ściskoł na kolanach jakąś dziwke, że ta szelma piszczała, jak złe. Alem też, pani droga, takiem mor-



W Bergen (Norwegia) odbędzie się w r. 1940 Wystawa Polarna. Na zdjęciu zamek Róż w Bergen.

dówkie dała, że stary mój parę dni łaził inwalida, a od niej cało garść „kłaków" przyniosłam do „chaupy", by mo mu „sznupe" nimi wytrzyć...

— Niech pani przestanie... Ja nie chcę tego słyszeć...

— E, dziwno też z pani kobita. Zamiast być mi wdzięczno za uwagi i chłopu sprać pysk, to sie unosi — tak, jak mnie chciała po prostu wyćpić z chaupy.

— Ano, tak już bywo, że, jak mówi przysłowie, za dobry byto, kijem obito — rzuciła nachmurzona Taborkowa, skarcona wzrokiem Lusi.

— Dziękuję pani, ale sama wiem, co mam robić.

— Młodo pani, winc głupio! — rzuciła wściekła Taborkowa, wynosząc swoją mocno korpulentną postać.

* * *

Kiedy Lusia została sama serce jej napełniło się w dwójnasób goryczą.

Drżała już naprzód, bo gdy mąż przyjdzie pijany, będzie ją znowu bił.

— I za co — łkało jej serce. — Czy za to, że go tak ogromnie kocham?!

— Przed ślubem był jednak innym — myślała niewiasta. — Nie pił, nie awanturował się, a odkąd wprowadzili się tutaj i kiedy poznał Taborka i kilku innych drabów, jak w myśli nazywała ich Lusia, stał się po prostu niemożliwy, zwierzęcy!

Już mu nic nie mówi obecnie, byleby jej dał spokój, nie poniewierał, jak psem najgorszym, którego nawet się broni.

Ją nikt nie pożałuje, nikt nie współczuje, bo nie ma prócz męża nikogo bliskiego.

On jest dla niej najbliższym, wszystkim! Lecz zapomniał o tym. Rozpił się.

Młoda niewiasta szukała ukojenia w Najświętszym Sercu Jezusowym. Modliła się. Sakramenta święte były w tych ciężkich dla niej chwilach jedyną pociechą i osłodą.

Tydzień temu była również u spowiedzi. Radziła się księdza.

Spowiednik pocieszał ją, dawał rady. Nalegał, by wytrwała.

Jeśli mąż dawniej nie był złym, nawróci ze złej drogi, ale to wszystko od niej wyłącznie zależy.

— Wszak w życiorysach świętych można znaleźć moc dobrych przykładów — mówił ksiądz. — O świętej Serafinie czytamy, że okropnie cierpiała ze strony męża. Znieważał ją czynnie, łamał wiarę małżeńską, a żyjąc sam w niedozwolonym stosunku z osobą trzecią, posądzał o to samo nieszczęśliwą. W końcu wygnał ją całkiem z domu. Święta Serafina zamknęła się wówczas w klasztorze. Nikt jednak nie słyszał by się kiedykolwiek żaliła na męża. Była pokorną, miłosierną, znosiła zniewagi bez szemrania, modląc się tylko gorąco.

Nie ta miłość, która zapłonie gorącym ogniem i szybko oziębnie jest podstawą szczęścia małżeńskiego, ale miłość ugruntowana w Bogu, miłość nadprzyrodzona, nakazująca szanować bliźniego i znosić jego ułomności ze względu na Najwyższe Dobro. Ta miłość, która zwycięża nawet szatana.

Nie można było mieć gorszego męża, niż miała go święta Serafina. A jednak miłość świętej małżonki sprawiła, że mąż się nawrócił, a i osoba, która była towarzyszką jego grzechów, żałowała i prosiła Boga przed śmiercią o odpuszczenie win występnego jej życia.

— Blisko czterysta lat później, bo w roku 1863, bowiem święta Serafina zmarła w roku 1478, rozpoczęto proces kanonizacyjny tej nader skromnej kobiety, która była tylko żoną służącego... — mówił dalej duszpasterz. — Mąż jej był wprost potworem. Nie dorósł do swojej żony. Anna Maria Taigi odznaczała się wielką mądrością. W niewytłumaczony sposób leczyła chorych. W ostatnich latach swego pokornego żywota znana była ze swojej świątobliwości — tak, że księża, kardynałowie i najznakomitsi mężowie udawali się do niej o poradę.

Najwyżej stawia ją w naszych oczach stosunek do męża, którego ta cicha kobieta przezwyciężyła swą cnotą, pracą i pokorą do tego stopnia, że, jak poświadczają zgodnie jej znajomi i krewni, żyła z nim w końcu w doskonałej zgodzie i miłości.

— Pokorą i miłością usuwa się wszystkie przeszkody szczęścia rodzinnego i pokonywa wszelkie trudności... — zakończył ksiądz swoje uwagi pod adresem młodej niewiasty, której słowa te mocno utkwiły w pamięci.

Czapińska starała się postępować według wskazówek księdza, lecz nie było to łatwe!...

* * *

Czapiński wraz z Taborkiem, podpici, wracali do domu.

Naraz Leonard potknął się i upadł.

Rumot na schodach przeraził Lusię, gdyż równocześnie z łoskotem upadającego ciała dał się słyszeć uniesiony oburzeniem głos Taborkowej.

— Wracają pijani — pomyślała przyzwyczajona już do tego młoda kobieta.

Taborek podniósł Czapińskiego, a jego żona, niezmordowana mówczyni, rzucała dalej całe „kolekcje własnych zdań".

Leonard, zdenerwowany słowami sąsiadki, począł co sił walić do swojego mieszkania, klnąc przy tym i złorzecząc.

Denerwowały go wymówki żony, więc krzyczał nieraz, by przegłuszyć ją i własne sumienie!

Ostatnio jednak, kiedy żona zamiast wymówek — płakała, doprowadzało go to wprost do szaleństwa.

Widział bowiem swoją nikczemność, ale był uparty, zwłaszcza upór jego podsycali jego źli koledzy, którzy go wykorzystywali, a to wszystko uwieńczał alkohol, zamraczając jego umysł.

Drażniły go w takich razach wszelkie uwagi i narzekania.

Bił więc żonę.

Bywało, że nieraz uczucie dobre przemówiło w nim, ale zaraz tłumił ten odruch okrzykiem: — nie!

Żona otworzyła mu drzwi.

Leonard przestąpił próg, lecz nagła zmiana powietrza zwaliła go z nóg.

Upadłszy, wyzywał, jakgdyby nie on, lecz kto inny był temu winien.

Lusi przypomniało się jeszcze jedno zdanie wypowiedziane przez księdza.

— Miłość wszystko przezwycięża, a dobroć jest kluczem do szczęścia.

Młoda kobieta automatycznie niemal pochyla się więc nad pijanym mężem, powstrzymuje cisnące się do oczu łzy, po czym mówi cicho, łagodnie, niemal słodko.

— Jakiś ty nieszczęśliwy... tak cierpisz... — i głaska go lekko po rozczochranej czuprynie. — Uderzyłeś się mocno, prawda?

Leonard dosłyszał słowa swej żony.

Podniósł więc głowę i spojrzał na nią nieco zdziwiony.

— Nie płaczesz? — powiedział cicho, a słysząc odgłosy w sąsiedztwie:

— I nie krzyczysz... — dodał.

Lusia popatrzyła na męża, na jego śmieszną minę, po czym, uśmiechając się lekko, powiedziała:

— Krzyczeć mam? Ale za co? Śmiać się raczej chce, widząc ciebie walającego się po podłodze.

Po chwili powiedziała znowu.

— Niedługo będziesz miał małego towarzysza. Uważam więc, że przyjemniej ci będzie wówczas w domu, bo ja nie bardzo umiem umilać ci życie.

Mężczyzna naraz niemal zupełnie wytrzeźwiał. Radość wezbrała w nim. Uśmiechnął się serdecznie.

Zresztą dziś nie pił zbyt wiele. Tylko to ciepło w domu!...

— Co... tego... — zaczął, ale nagle odczuł wielki wstyd wobec żony, więc udając mocno pijanego, bełkotał:

— Tak... to... Spać chcę...

Światła pogasły. Spokojnie było i cicho, jak zwykle.

A tylko uśmiechnięte we śnie twarze małżonków zdawały się mówić:

— Miłość — mająca swe źródło w Najświętszym Sercu Jezusowym — zawsze zwycięża...

RAJ KOBIET

Kurs robót siatkowych

W niniejszej części kursu podajemy sposób łączenia siatki z płótnem. Motyw powyżej przedstawiony nadaje się nie tylko do serwetek pod talerze, ale również do innych celów jak np. stor, zazdrostek, kap na łóżka itp. Zależnie od grubości użytej nici oraz wielkości oczek siatki zastosować go można do najcieńszej tkaniny, jak również do grubego płótna i etaminy.

Przy wykonaniu serwetek uwidocznionych na rycinie można w oszczędny i praktyczny sposób jednocześnie wiązać siatkę na motyw jak i na koronkę. Gdy bowiem zrobimy siatkę na 53 oczka w kwadracie, możemy po napięciu siatki na ramki wyszyć najpierw wzór koroneczki, potem zaś wzór motywu, po czym wycinamy motyw, a zostanie nam koroneczka szer. 5 i pół oczka oraz motyw liczący 39 oczek w kwadracie.

Wyszywamy częściowo ściegiem gęstego cerowania, częściowo ściegiem płóciennym.

Płótno skroimy według wielkości całej siatki, a potem wycinamy kwadrat wielkości motywu, licząc wraz z pół oczkiem, bo potrzeba nam brzeżka do przychaftowania siatki.

Było by najdogodniej, gdybyśmy przyfastrygowały płótno do koronki, gdy tejże jeszcze nie zdjęłyśmy z ramek. Przyszycie motywu do brzegu z płótna ułatwiłoby poprzednie nakrochmalenie i wyprasowanie siatki.

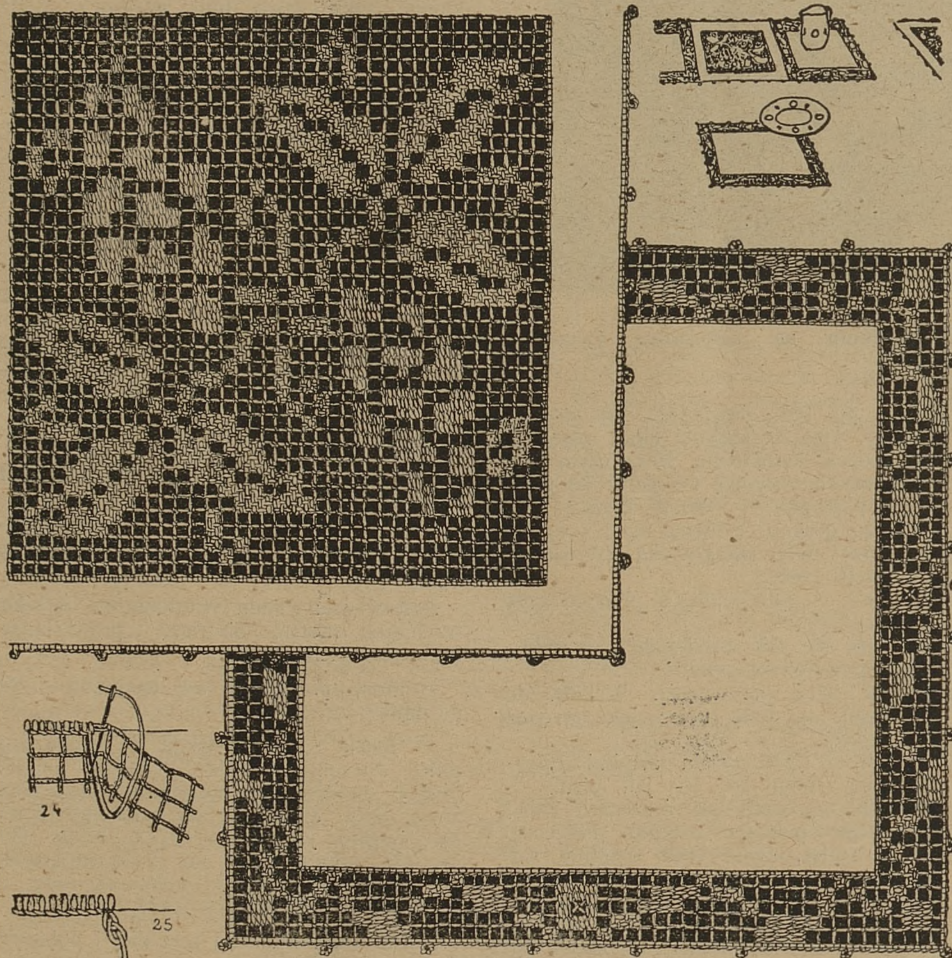
Jak widać na rycinie, przyhaftowujemy siatkę ściegiem chwytanym, jednak po poprzednim przyfastrygowaniu. Na ryc. 24 pokazaliśmy dla większej wyrazistości siatkę nieprzyfastrygowaną. Brzeżek ściegu chwytanego powinien zawsze być zwrócony do siatki, nie zaś do płótna, gdyż w ten sposób zapobiega się najpewniej strzępieniu się płótna.

Kraj serwetek tak płócienny jak i koronkowy wykończony jest pikotkami szytymi. Sposób wykonania uwidocznia ryc. 25.

Po pewnej liczbie ściegów chwytanych, łączących brzeg płótna z siatką, robimy 5 ściegów łańcuszkowych w powietrzu, wbijając igłę w poprzednie oczko, po czym dalej haftujemy tuż przy ostatnim ściegu chwytanym.

Na szkicu obok podaliśmy, w jaki sposób można złączyć 3 serwetki w nakrycie środkowe albo w bieżnik. Można oczywiście dowolnie zastosować jedną serwetkę z motywem pośród dwóch serwetek z koroneczką, lub na odwrót.

K. Kulczycka.



Lakierujmy paznokcie w kolorze naturalnym

Jedno z angielskich czasopism kobiecych urządziło ankietę stawiając pytanie czy ładniej wyglądają paznokcie koloru naturalnego czy też polakierowane na czerwono. Olbrzymia większość wypowiedziała się za paznokciami naturalnej barwy. Najciekawszą odpowiedź nadesłała nie kobieta, **ale mężczyzna** prof. akademii sztuk pięknych, który napisał: Moda lakierowania paznokci na czerwono powstała w Stanach Zjednoczonych. Wymyśliły ją panie, które zajmując się własnoręcznie kuchnią, niszczyły sobie bardzo paznokcie, a zwłaszcza przyciemniały ich barwę. Panie te zaczęły używać kolorowych lakierów, na razie imitujących naturalną barwę paznokci, a gdy nie wystarczyło, coraz bardziej czerwonych, co wreszcie doprowadziło do stosowania jaskrawo purpurowego lakieru.

Moda ta rozpowszechniła się niebawem i została przyjęta przez niektóre gwiazdy filmowe.

O niezapomnianym twórcy „Wesela".

(Z okazji rocznicy zgonu St. Wyspiańskiego)

Śmierć Stanisława Wyspiańskiego przed 31 laty (28. 11. 1907) była dla Polski niepowetowaną stratą. Stanisław Wyspiański bowiem walcząc w swych utworach o wolność i niepodległość Ojczyzny, jest jednym z tych, którzy najwięcej na nią zasłużyli. Wyrywał on swój naród z odrętwienia, wołał o wydobycie z dusz ludzkich największych porywów o maksimum energii narodowej, wołał o wielkie czyny. Był więc Wyspiański jednym z wskrzesicieli energii narodu.

Żył ten wielki poeta i genialny malarz tylko życiem narodu, będąc zawsze gotowym do poniesienia jak największej ofiary dla swej Ojczyzny. I stąd płynie też charakter narodowy jego twórczości. Treścią tych dramatów o podkładzie narodowym była zaciekła walka z błędami narodowymi, tamującymi drogę do wolności.

Jako pisarz zostawił nam Wyspiański w spuściźnie 16 dramatów, niezapomniane dzieła: Warszawiankę, Wesele, Noc Listopadową, Akropolis, Legendę, Lelewela itd. Ponadto pozostawił tłumaczenia Corneille'a, Woltera, wiersze liryczne, studia nad sztuką i literaturą.

Jako wybitny malarz dał nam 1000 dzieł malarskich. Jego wzory sztuki stosowanej świadczą o talencie w tej dziedzinie. Niektórzy mogliby zarzucać pewne braki w twórczości poetyckiej Wyspiańskiego, lecz wszyscy muszą przyznać, że jego dzieła malarskie są arcydziełami. On to stworzył w Polsce sztukę stosowaną, był pierwszym inscenizatorem teatralnym, który zerwał z konwencjonalizmem, zastosował nowe oświetlenie sceny i nowe dekoracje.

Cała twórczość Wyspiańskiego przyniosła przede wszystkim nowy artyzm, nowy wiew i nowego ducha. Nic z romantyzmu, nic z pozytywizmu, wszystko jest jego własne, do nikogo innego nie podobne. Jest to sztuka wykarmiona na nowych sokach. Czujemy w tej twórczości własną formę wypowiadania się, wielką siłę wyobraźni, wicher fantazji i szlachetność tematu. Nie było też poety, poza naszymi trzema wieszczami w XIX i XX. wieku, o który by tyle napisano, co o Wyspiańskim.

JANINA HABERNÓWNA (Kraków).

Katastrofa

Nowela

Szary świt zastał ją czytającą książkę. Zdarzało się to już od szeregu nocy, że nie mogła spać. Te myśli tłoczące się jej od jakiegoś czasu do głowy spędzały sen z powiek, pokazywały twarz przejrzystą bladością, podkrążały ogromne, szare oczy.

Joanna odłożyła książkę. Zgasiła lampkę na stoliku i oparła głowę na poduszkach. Oczy pozostały otwarte, wpatrzone w jasną plamę sufitu. Zniknęły fantastyczne kształty, jakie rzucał przed chwilą abażur lampy, świt malował teraz różowo niebieskie kolory. Cisza. Zegary tykają monotonnie — jeden wolno, drugi szybciej.

Joanna podkłada ręce pod głowę i myśli. Wie, że dziś już nieodwołalnie musi zrobić to, co od dawna postanowiła. To znaczy — odejść od Piotra. Wiedziała, że Piotr kocha ją — a ona? Poza Piotrem nie istniało przecie nic dla niej. Ale właśnie dlatego, że tak kocha, musi odejść. Nie może dać mu szczęścia. Powód może jest mały, ale... Joanna wie jak bardzo pragnie Piotr dziecka. Nie mówił jej tego, był na to za subtelny — ale ona odczuwała to doskonale. Jeszcze zanim się pobrali opowiadał jej zawsze o tym, cieszył się myślą, że kiedyś będą mieć dziecko. Tak po dziecinnemu sprzeczali się ze sobą.. Joanna chciała mieć chłopca, a on zawsze marzył o dziewczynce. A dziś? Ona wie, że nie może mieć dziecka, pytała się o to lekarza. Widziała, jak Piotr zmienił się od czasu, gdy mu powiedziała o tym. Nie był już tak wesoły, jak dawniej, nie pracował z takim samym zapałem. Tyle smutku było w jego niebieskich oczach, gdy niedawno temu bawił się z jakąś małą dziewczynką, spotkaną w parku.

— Tak — postanawia Joanna. Dziś odejdzie. Czuje jak zaciska się coś w krtani, gdy o tym myśli i łzy gwałtownie napływają do oczu.

A może było by lepiej, gdybym była została w tym wagonie? Wszystko było by się tak naturalnie skończyło...

—o—

Joanna leży na brzegu morza. Ciałem mocno przylgnęła do złotych, gorących ziarn piasku.

Cisza. Morze spokojnie faluje lekko. Na horyzoncie szara jego tafla łączy się z błękitem nieba. — od sosen idzie żywiczny zapach.

— Jak pięknie — myśli, podnosząc się leniwie i otrzepując z piasku opalone ciało.

Znowu jesień. Parę lat temu wstecz — też była jesień. Tak samo świeciło ogrzane słońce, takie same były wieczory. Jakby to było wczoraj, pamięta Joanna długą aleję, pożółkłe drzewa, ziemię zasłaną liśćmi po których szło się, jak po puszystym, szeleszczącym dywanie.

A dziś? Wszystko to samo — a jednak? Jakaś dziwna pustka i cisza — nic więcej.

Joanna patrzy na morze, mruży oczy przed jasnymi promieniami zachodzącego słońca, odbijającymi się jaskrawo o przelewające się fale.

Od brzegu biegnie mała dziewczynka, leciutka, niebieska sukienka powiewa na wietrze. Dziecko upuściło balon, który toczy się prosto pod nogi Joanny. Najpierw piłka uderzyła lekko jej stopy, a po tym złota główka małej zderzyła się z kolanem Joanny.

Dziecko zatrzymało się, podniosło w górę twarzyczkę i ogromne, niebieskie, trochę zdziwione oczy spojrzały na Joannę. Ta przykucnęła nieco.

— Nic ci się nie stało? — spytała trzymając dziecko. Ale mała uśmiechnęła się figlarnie. — Nie boli cię główka?

Dziewczynka stała wtulona w jej kolana, trzymając mocno oburącz i przyciskając do brzuszka wielki balon.

— Może pobawimy się trochę? — Jak ci na imię?

— Joasia — powiedziała i rzuciła Joannie piłkę. Zaczęły się bawić. Dziecko śmiało się głośno, zadowolone, szczebiocąc dużo. Ale Joanna była smutna. Nie wiedzieć dlaczego, ale wydało jej się wszystko naraz dziwne. Myślała, czemu mała ma takie imię jak ona — czemu te ogromne, niebieskie oczy dziecka tak jej coś dziwnie przypominają.

Naraz mała upuściła zabawkę i pobiegła pędem w stronę lasu. Joanna obejrzała się. Widziała opalone ręce, unoszące dziewczynkę w górę, a potem jakiś mężczyzna zbliżał się w jej stronę. Był w białych płóciennych spod-



Do Warszawy przybyła wycieczka Zaolzian, których powitano na dziedzińcu Cytadeli.

Słyszy cichy szmer z jakim spadają na poduszkę..

— Nie wolno płakać — powtarza sobie.. Zegarek zadzwonił lekko, używanie.

— Trzeba zbudzić Piotra — myśli Joanna, wstając. Patrzy przez okno na aleję zasypaną gęsto żółtym liściem. Strącane lekkim wiatrem, słabe, zeschłe liście upadają jak złoty deszcz na zwiędłą trawę.

Jesień. Ponury ranek — ziemia mgłą zasnuta jak białym welonem.

— Jak smutno — wzdycha, opierając czoło o zimną szybę okna.

A przy Piotrze jest wesołą, uśmiechniętą. Patrzy na niego, jakby obraz tej kochanej twarzy chciała zabrać na zawsze ze sobą.

Pociąg pędzi szybko — miarowy stukot monotonnie przerywa ciszę. Niebieskie światło lampy powleka ściany wagonu, ślizga się po miękkich kanapach.

Noc jest cudowna, księżycowa. Na jasnym, nasiąkłym światłem księżycowym niebie, migają ciemne sylwetki drzew, chat, jakaś wieża kościelna wyłania się między nimi...

Joanna odwraca głowę od okna i przymyka oczy. Stara się nie myśleć o niczym, ale jest to po prostu niemożliwością. Zastanawia się, co będzie robić teraz. Zacznie chyba pisać książki, jakieś nowele. Ma do tego latent — niedawno nie mówiąc nawet o tym Piotrowi, dała jedną do druku. Naturalnie pod innym nazwiskiem. Wydawca był nią zachwycony — dopominał się o nowe. Książka zaczynała mieć niezwykłe powodzenie.

Tak, to będzie najlepsze — konstatuje. Tylko ta myśl, że nie będzie już przy niej Piotra, że nie będzie mogła go oczekiwać w południe, rozmawiać z nim — to było tak bardzo związane z życiem Joanny. Czy potrafi się obejść bez tego? A on — Piotr? Czy nie będzie chciał, by powróciła do niego? Zostawiła mu mały bilecik, że go nie kocha i dlatego wyjeżdża. Żeby starał się o rozwód. Ale czy on w to uwierzy?...

Pociąg zatrzymuje się na jakiejś większej stacji. Joanna wysiada, by napić się gorącej herbaty. Zmarzła w pociągu, czuje silne dreszcze przebiegające ciało, aż nogi drżą pod nią.

W bufecie jest ciepło, przyjemnie. Zapala papierosa czekając na herbatę. I tak się zasiedziała, że dopiero ostry gwizd lokomotywy wyrywa ją z zamyślenia. Wybiega szybko na peron, ale jest już za późno. Widzi znikający na zakręcie ostatni wagon jej pociągu.

Stoi niepewnie, nie wiedząc co zrobić. Trzeba pójść zawiadomić urząd, żeby bagaże jej wyładowano na następnej stacji. I już ma zawrócić, gdy nagle dziwny huk, jakby łomot łamiącego się drzewa, czy żelaza rozrywa ciszę nocy. A po tym Joanna słyszy jakieś głosy, krzyki — ludzie szybko przebiegają koło niej. Biegną w kierunku dokąd pojechał pociąg.

W chwilę po tym dowiaduje się wszystkiego. Pociąg, którym jechała uległ zaraz za stacją, na moście katastrofie. Przy czym dwa ostatnie wagony urwały się i wpadły do rzeki.

Akurat mój wagon — myśli Joanna. Ale nie mówi tego głośno. Dziwna myśl przychodzi jej do głowy. Wie, jak głęboką jest właśnie w tym miejscu rzeka.

— A ludzie? — pyta jakiegoś przechodzącego urzędnika.

— Może uda się ich wyratować? — odpowiada, robiąc wątpliwą minę.

Joanna nie pyta już więcej. Wsiada do innego pociągu — byle uciec jaknajprędzej od tego miejsca.

Rano z gazety przeczytała artykuł opisujący katastrofę. Most był — jak pisali — podmyty przez wezbraną po deszczach rzekę. Maszyna i część pociągu zdołała przejechać zanim most runął, tylko dwa ostatnie wagony urwały się i wpadły do rzeki. Wśród ofiar przeczytała swoje nazwisko. Odczytano je z walizek, które zostawiła w przedziale. A przy tym krótka wzmianka, że zwłok nie zdołano odnaleźć. Widocznie prąd bardzo silny w tym miejscu musiał je gdzieś unieść.

— A więc umarłam — szepce smutnie Joanna. Jak dziwnie składa się czasem w życiu.



Rodacy zza Olzy w barwnych strojach regionalnych udają się z Cytadeli na zwiedzenie Warszawy.

nlach i lekkiej koszulce. Joanna przysłoniła twarz dłońmi, potem szybko odwróciła się w stronę morza i zaczęła biec do wody. Nie odwracała się za siebie. Dopiero, gdy zamoczyła się i odpłynęła nieco od brzegu popatrzyła.

Na brzegu stał Piotr i patrzył za nią. Nie mógł jej poznać, tego Joanna była pewną. Nie widział jej twarzy — może po prostu sylwetka jej coś mu przypomniała. Stał z dzieckiem na ręku, patrzył i patrzył jak Joanna płynęła coraz dalej od brzegu. Potem zawrócił wolno w stronę pensjonatu.

—o—

Czarne chmury przesłaniają niebo — morze jest szare, skłębione. Fale przelewają się głośno jedna nad drugą, hucząc głucho, jednostajnie.

Joanna stoi w oknie. Chłodny, świszczący wiatr rozwiewa jej włosy, wdziera się do pokoju, kołysząc firanką.

Od kilku dni nie wychodziła nigdzie — bała się spotkać z Piotrem. Przez te dni pracowała intensywnie nad ostatnią swą powieścią. Chciała ją wydać jak najprędzej — była w dziwnym podnieceniu — wyobraźnia jej pobudzona ostatnimi dniami nie dawała jej spokoju.

— Coś się musi stać — myśli Joanna. Czuje, że tak dłużej być nie może. To wieczne ukrywanie się przed ludźmi, ten brak jakiegokolwiek celu w życiu, który odczuwa teraz, musi się skończyć.

Z drugiego pokoju dochodzi szybki, miarowy stukot maszyny. To sekretarka przepisuje rękopis ostatniej jej powieści. Ten monotonny stukot zaczyna już drażnić Joannę. Uchyla lekko drzwi.

— Może ukończy już pani dziś robotę — mówi Joanna i powraca do okna. Robi się naraz cicho — słychać zamykanie drzwi. Jest sama.

Siada przy biurku i zaczyna pisanie. To zakończenie powieści nad którym myśl już od dawna, przyszło jej naraz do głowy. Pisze szybko — byle nie zapomnieć — ręka gorączkowo kreśli kartki papieru.

— Czy koniecznie koniec musi być tak tragiczny — myśli, skończywszy pisanie. A potem przychodzi jej na na myśl, że to chyba najlepsze wybrnięcie z tej sytuacji.

Kładzie zapisane kartki. Jutro panna przepisze to na maszynie.

Robi się ciemno. Z daleka słychać głuche grzmoty — burza się zbliża. Joanna chce zamknąć okno. Zmrużonymi oczyma spogląda na pieniące się fale.

Tam, na brzegu bawi się dziecko — spokojnie, nie zdając sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Jest samo — widocznie nikt nie wie, że tu wyszło. Joanna poznaje złotą główkę. Brzeg w tym miejscu jet dość wysoki i urwisty. Skłębione fale sięgają już niemal do stóp dziecka, silny wiatr szarpie lekką sukienką.

Joanna jest już na drodze. Po drodze zdołała powiedzieć, by zawołano Piotra. Biegnie nad brzeg wpatrzona w wątłą figurkę dziewczynki. Jeszcze kawałek — i naraz ogromna fala uderzyła w brzeg. Dziecka nie było.

Joanna skoczyła do wody — zaczęła płynąć w kierunku, gdzie mignął na wodzie biały płat sukienki.

Udało jej się chwycić dziecko. Tak ciężko płynąć. Fale niosą coraz dalej, nie jest w stanie dopłynąć do brzegu. Ostatkiem sił walczy z rozszalałym żywiołem. Od brzegu zbliża się łódź. Widzi blisko pochylone nad głębią twarze, bladą twarz Piotra... Rzucona lina mignęła jej przy głowie. Joanna zarzuca ją na dziecko. Coś wołają — pokazują, ale ją to nie obchodzi. Czeka dopóki dziewczynki nie wciągną do łodzi — ręce Piotra chwytają lekki ciężar.

Wtedy Joanna opuszcza ręce — nie broni się już przed zalewającymi ją falami. Poco? — To jest najlepsze zakończenie — myśli. A po tym nie czuje już nic — tylko te ciężkie masy wody tłoczące się na nią.

Nie znaleziono jej ciała — wzburzone fale poniosły je daleko na szerokie morze.

—o—

Piotr spędził całą noc bezsennie. Myśl, że nie zdołano wyratować tej, co ocaliła mu dziecko, doprowadzała go do rozpaczy. Kim ona była?

Rano z gazety mógł nareszcie dowiedzieć się czegoś konkretnego. Tak różnie objaśniano go wczoraj.

Więc była — jak piszą — doskonałą pisarką. Piotr patrzy na dużą fotografię w gazecie i wprost wierzyć mu się nie chce.

Ta kobieta — to Joanna.

Szeroko otwarte oczy Piotra wpatrują się nieprzytomnie w smutną twarz Joanny.

— Jak się to stało? — myśli.

W jakiś czas po tym przeczytał ostatnią powieść Joanny, pisaną jakby dla niego — jakby dla usprawiedliwienia siebie. I wtedy dopiero zrozumiał wszystko. Całe piękno uczucia Joanny do niego. Dlaczego odeszła i jak cierpieć musiała. Biedna Joanna...

W pokoju obok bawi się dziecko. Srebrzysty śmiech jego rozbrzmiewa po całym mieszkaniu.

Piotr zakrył oczy dłońmi. Spod palców wolno wypłynęła ciężka łza i spadła na otwartą książkę. Ma książkę, którą pisała Joanna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

REBUS

 Uł. F. Gałecki.



KWADRAT MAGICZNY

uł. „Eros".



Znaleźć 4 wyrazy w znaczeniu: 1) nakrycie, 2) natarcie, 3) skrzynie i 4) dawna część uzbrojenia wspak.

Wyrazy czytać poziomo i pionowo.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 2 grudnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 46 „Moich Powieści":

I. KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1) Ikar, 2) dom, 3) te 4) ul, 5) Pat, 6) Adam, 7) dola, 8) mój, 9) do, 10) bal, 11) koral, 12) karabin, 13) Kowel, 14) rak, 15) to, 16) sil, 17) sowa.

Pionowo: 1) idea, 2) kot, 3) ma, 4) lupa, 5) dal 6) ta, 7) oj, 8) lód, 9) amor, 10) borek, 11) lak, 12) parawan, 13) labor, 14) kil, 15) Wit, 16) so, 17) rola.

BILETY WIZYTOWE

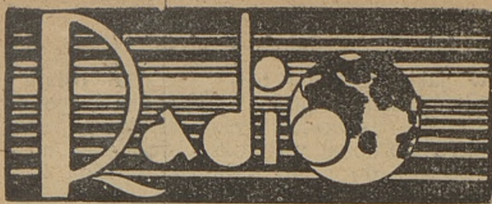
1) Automat, 2) Anna.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Wiśniewski Józef — Milanówek, Arndtowa Wanda — Łódź, Januszewska Wanda — Łódź, Kawecki Wincenty — Modzerowo, Golab Miłosz — Warszawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły p.p.: Wiśniewskiemu z Milanówka i Januszewskiej z Łodzi.



Piękne zdjęcie ciągle czynnego jeszcze wulkanu Fudżi-Yama w Japonii.



Niedziela, dnia 27 listopada 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Regionalna transmisja z Białegostoku 11.45 Audycja szkolna w programach radiowych — omówi dr. Irena Skowronkówna 12.03 Poranek symfoniczny z Katowic 13.00 Wyjątki z Pism Józefa Piłsudskiego 13.15 Z naszych stron — muzyka obiadowa ze Lwowa 14.40 „Wszystkiego" po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka 17.000 Tygodnik dźwiękowy 17.30 Koncert rozrywkowy Małej Orkiestry P.R. 19.30 Orkiestra BBC. pod dyr. A. Boult'a — koncert z płyt 21.00 Koncert muzyki operowej polskiej 2.00 „Woltyżerka Dropsy Mops" — Wesoła Syrena 2.40 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 28 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Koncert chóru „Light Opera Company" (płyty) 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 Melodia w śpiewie, w muzyce instrumentalnej — ludowa i artystyczna, dawna i współczesna — audycja dla gimnazjów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży „Bartłomiej Nowodworski — założyciel najstarszego gimnazjum w Polsce" 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.20 Kronika naukowa: Filozofia 16.35 Utwory W. A. Mozarta — koncert z Wilna 17.35 20-lecie Marynarki Wojennej: przemówienie Kontradmirała Jerzego Świrskiego, Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej; piosenki marynarskie 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja Legii Akademickiej 19.00 Koncert rozrywkowy z Poznania 21.00 „Temperamenty" — powieść mówiona A. Cwojdzińskiego 21.15 Wanda Landowska — klawesyn — koncert z płyt 22.00 W wigilię rocznicy Powstania Listopadowego — koncert.

Wtorek, dnia 29 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Marsze i pieśni rycerstwa polskiego (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam 13 lat" — powieść mówiona dla młodzieży 1.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.25 Z zapomnianych naszych pieśni (aud. II) 16.55 „Polska piękną była naówczas" — szkic literacki 17.10 Polskie utwory fortepianowe w wyk. E. Roeslera 17.30 „Z pieśnią po kraju" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Muzyka polska w wyk. Małej Orkiestry P.R. 21.00 Koncert Polskiego T-wa Muzyki Współczesnej — Transmisja z Konserwatorium 22.00 „Temperamenty" — powieść mówiona Cwojdzińskiego 22.15 „Andrzeju, Andrzeju, wosk na wodę leją" — aud. muz.

Środa, dnia 30 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Arie operetkowe w wyk. R. Taubera (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert" — audycja dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.30 Muzyka kameralna z Poznania 17.00 „Samosierra" — odczyt 17.15 Folklor różnych narodów — audycja muzyczna 18.00 Audycja dla wsi 18.40 19.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 21.00 Recital chopinowski Zygmunt Dygt 21.30 „Literatura zwiastunką niepodległości" — wiecz. lit. 22.00 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry P.R.

Czwartek, dnia 1 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół: — poranek muzyczny z Katowic 11.25 Jan Strauss Piękny Dunaj — balet (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 „Świat w kolorach" — pogadanka dla młodzieży 15.15 „Kłopoty i rady: Andzia dziękuje za służbę" 15.30 Muzyka obiadowa Małej Orkiestry P.R. 16.15 „Z życia robotnika" — odczyt dla młodzieży licealnej 16.35 Recital fortepianowy Józefa Smidowicza 17.20 Muzyka norweska — koncert z Poznania 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Życiorysy instrumentów 19.00 Koncert rozrywkowy z Krakowa 21.00 Rozwój przedsiębiorczości prywatnej — odczyt 21.10 Recital śpiewaczy Ignacego Dygasa 21.30 Pochodnie wieków: „Grzegorz VII" 22.00 Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich 22.05 Koncert muzyki polskiej

Piątek, dnia 2 grudnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Tarantele — koncert z płyt 12.03 Audycja południa 15.00 Zagadki muzyczne — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.30 Miniatury kwartetowe — koncert z Krakowa 17.20 Dyskutujmy: „Plusy i minusy rekordów sportowych" Arie operowe wykona Michał Hołyński (ze Lwowa) 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Teatr Wyobraźni: „Powrót wg. noweli Conrada 18.55 Koncert rozrywkowy Małej Orkiestry P.R. 21.00 Chór Polskiego Radia 21.15 Transmisja opery z Paryża 22.30 „Książę Józef w poezji" — szkic literacki 22.45 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 3 grudnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Instrumenty dętę solo i w zespołach płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci „W królestwie św. Barbary" 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.30 Hymnika serafickа — aud. muzyczno-słowna 17.00 Nabożeństwo z Kaplicy Matki Boskiej Na Jasnej Górze w Częstochowie 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.15 Koncert ork. Szkoły Więziennictwa 19.50 Melodie węgierskie — audycja muzyczna 21.00 Humor i muzyka — koncert rozrywkowy 23.15 Muzyka taneczna z płyt.



AGENTURA

Gdy w roku 1746 wojska szwajcarskie stanęły pod Murten, by stawić opór Karolowi Śmiałemu ich wódz ukląkł i zaczął się modlić głośno.

— Wielki Boże! Jeśli my mamy rację, daj nam zwycięstwo! Jeśli wróg ma rację, daj jemu zwycięstwo! Gdybyś jednak przypadkiem nie mógł ustalić po czyjej stronie jest słuszność, stań sobie na uboczu i tylko patrz, jak my, Szwajcarzy potrafimy bić. Amen.

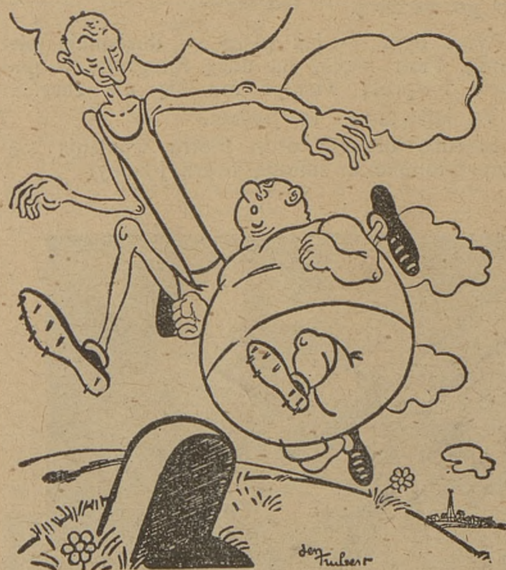
WSPÓLNE USTĘPSTWA

— Ładnie to przychodzić do domu o trzeciej w nocy?

— A ładnie to nie spać do trzeciej w nocy?

— Tak? Ja czekam na ciebie od sześciu godzin, nie śpiąc wcale!

— A ja siedzę od sześciu godzin w knajpie i czekam, byś zasnęła.



Biegły sobie dwa Michały
Jeden duży, drugi mały!

NIE ZROZUMIAŁ

Chłop przychodzi do administracji dziennika i powiada:

— Ojciec mi zmarł. Chciałbym dać ogłoszenie. Ile to może kosztować?

— Dwadzieścia groszy za milimer! — odpowiada urzędnik.

— Gwałtu! — woła zrozpaczony. — Ojciec mój miał 1 metr i 80 centymetrów wysokości.

NIECH TEGO DOKAŻE

Pies wetknął nos w kosz z rakami, stojący na placu targowym. Jeden z nich chwycił go silnie szczypcami, a pies umknął, wyjąc żałośnie.

— Gwiźdź pan na psa, by wracał! — powiedział właściciel raków, właścicielowi psa.

— Gwiźdź pan na raka, by puścił jego nos, a wróci niezawodnie.

SYSTEM

— Czy dzwonił kto do mnie?

— Tak, proszę pana.

— Kto?

— Nie wiem, ale na wszelki wypadek, powiedziałem że pan jutro zapłaci.

ROZSĄDNY ZYGMUŚ

Zygmuś odmawia modlitwę wieczorną przed pójściem spać.

— Módl się głośno, kochanie — mówi mama, bo wcale cię nie słyszę.

— Przecież ja z tobą nie rozmawiam, mamusiu, tylko z Bozią...

POMYLIŁ SIĘ

— Zapewniałeś mnie pan, że zegarek będzie chodził do końca mego życia, a on już dawno nie chodzi.

— Rzeczywiście, pomyliłem się. Ale, bo też pan wtedy tak źle wyglądał...

W SZKÓŁCE WIEJSKIEJ

— Mojsze, gdzie siedzi rozum?

— On sobie wcale nie siedzi, tylko chodzi za interesami, bo gdyby siedział, to nie byłby rozum...

SZKOCKIE ALIBI

Sandy Mac Lean stoi przed sądem, oskarżony o zabójstwo. Tylko stuprocentowo pewne alibi mogłoby go uratować.

Obrońca rozpoczyna swe przemówienie:

— Wysoki sądzie! Mój klient dostał na krytyczny wieczór bezpłatny bilet do teatru! Czy przypuszczacie, panowie sędziowie, że mógłby on z niego nie skorzystać?...

Sandy Mac Lean został jednogłośnie uniewinniony!

WYRÓWNANIE

— Bardzo mi przykro, sąsiedzie, że moja kaczka wyrządziła panu szkody w inspektach...

— Ee... to nic.. Mój pies upolował ją i schrupał..

— A to się ślicznie składa... jesteśmy skwitowani. bo właśnie moim autem przejechałem pańskiego psa...

WET ZA WET

Kolejka pojazdowa wlokła się, jak zawsze, stając co chwila. Jeden z pasażerów stracił cierpliwość i rozpoczął spór z konduktorem.

— Jeśli panu to nie dogadza, proszę wysiąść i iść pieszo! — odparł konduktor.

— O nie! — odparł szyderczo pasażer. — Tak bardzo mi się znów nie spieszy.

SOLIDNY MĄŻ

Mąż. — Byliśmy w sklepie blisko dwie godziny i mimo to zapomniałaś jeszcze o jakimś sprawunku.

Żona: — Nic nie zapomniałam!

Mąż: — A ja ci mówię, że zapomniałaś.

Żona: — A co takiego?

Mąż: — Tego nie wiem

Żona: — Więc po czym wnioskujesz, że zapomniałam?

Mąż: — A bo zostało mi jeszcze w portmonetce 5 złotych.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4.50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.